№ 4. Warszawa, dnia 26 (14) Stycznia 1884 r. Rok IV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Włodzimierska Nr. 2.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

NOWY KLIN.

Przed wiedeńską Radą państwa stanął wniosek, obrachowany na rozpalanie spopielonych już nieco namiętności — o języku państwowym. Który w Babelu austro-węgierskim słusznie jest godnym tego zaszczytu i czy któremukolwiek winny poddać się inne? Wpadnie w błędne koło a co najmniej wołać będzie na puszczy ten, kto do rozstrzygnięcia zagadnień politycznych wezwie etykę z logiką. Jest to bowiem dziedzina, w której one może najrzadziej powoływane są do sądu ostatecznej instancyi a często skazywane na zupełne z niej wygnanie. Przykład — w tej właśnie sprawie. Niemcy Austro-Węgier stanowią zaledwie czwartą część ogólnej ludności, a jednakże ich mowa króluje u dworu, w armii, we wszystkich zarządach centralnych. Nadto ponieważ monarchia przybrała ustrój autonomiczny, wypadałoby więc, że i język każdego ze składających ją narodów zatrzyma w ich życiu swoje prawa. Tymczasem Austro-Węgry z garścią niemców pozostają ciągle państwem niemieckiem. I czy może być inaczej? Niestety — nie. Rozproszone, zwykle sobie niechętne i w swych poglądach zezujące gromadki słowian, którzy jedynie mogliby wystąpić jako plemię przeważne, ani osobno, ani w połączeniu nie zdolni są wydrzeć berła z rąk niemieckich. Bo kto je ujmie? Czesi, polacy, rusini lub słowieńcy? Nie pozwala im na to zarówno liczba, jak zbyt młoda cywilizacya. Nie poruszamy pytania, czy berło to jest wogóle potrzebnem, gdyż konieczność stosunków praktycznych swobodnego zrzeszenia się ludów w monarchii Habsburgów nie dopuszcza. Bez względu na to, czego one sobie życzą i co sprawiedliwość nakazuje, muszą pozostać tymczasem w układzie obecnym. Jeżeli zaś ten ich los jest w teraźniejszości nieuniknionym, to nieuniknione również są wszystkie wiązania, spajające budowę. Należy do nich, między innymi, język łączny. Dopóki Austro-Węgry są jednem państwem, dopóty musi ono posiadać pewien wspólny wszystkim jego częściom organ wzajemnego porozumiewania się. Śród mocarstw europejskich Francya nie zajmuje pierwszego stanowiska ani liczbą, ani oświatą, a przecież jej język panuje dotąd w całej dyplomacyi, tak jak kiedyś panowała łacina nawet wtedy, gdy rzymianie znikli.

Narodom Austro-Węgier nie może być przyjemnem i wygodnem to uprzywilejowanie obcego języka, z którego dotąd czas nie starł plam zdrożności mówiącego nim narodu. Ale czy należy się dziwić, gdy one ponoszą tę ofiarę dla korzyści bezpieczeństwa? Nawet grupy słowiańskie, najbardziej rozjątrzone przeciwko germanizmowi, tak dalece są niepewne jutra, że boją się zbyt daleko z nim posuniętą walką narażać swej przyszłości. Same o własnych siłach w otoczeniu groźnem nie ustoją. Mimo niemieckiej przewagi, mimo wielu niesprawiedliwości w stosunkach, ludy Austryi mają zapewnione obszerne pole dla rozwoju narodowego.

Ta trzeźwa rachuba trafia niewątpliwie do przekonania nawet stronnictw radykalnych i względem hegemonii germańskiej najbardziej niecierpliwych. Według wszelkiego więc prawdopodobieństwa wniosek, zapewniający językowi niemieckiemu przywileje ogólno-państwowe, z uwzględnieniem praw autonomicznych, przeszedłby, gdyby nie to, że jest on tylko przebiegłym fortelem centralistów, pragnących rozłupać tym klinem prawicę. Przypuszczają oni, że słowianie staną do niebezpiecznej gry, odepchną od siebie przyjaciół niemieckich i tym sposobem przygotują drogę do steru szajce wiernokonstytucyjnej. Oprócz tego celu, nie ma ów wniosek żadnej innej racyi, nie postawiła go żadna potrzeba, żadne starcie. Prowincye słowiańskie domagają się rzeczywiście szerszych praw dla swoich języków, ale, o ile nam wiadomo,, nie sięgały dotąd pretensyami po za granice własnego życia, nie szturmowały ani do dworu, ani do ministeryów, ani do armii. Godziły się one z koniecznością filozoficznie, odkładając myśl zupełnego wyzwolenia się do szczęśliwych czasów, których dotąd... nikt jeszcze nie widzi. Powtarzamy: bezwzględna etyka i logika nic nie poradzą i nie mają głosu wobec tysiąca interesów praktycznych, zmuszających do ofiar i do działania wbrew woli i wbrew zasadom teoretycznym.

Najgwałtowniej przeciwko wnioskowi wystąpiły gazety czeskie, gdyż jego ostrze głównie przeciw nim zwrócono. Zwłaszcza gdy dotychczasowy ich sprzymierzeniec, Lienbacher stanął po stronie przeciwnej, dzienniki praskie uderzyły na alarm. Nie ulega wątpliwości, że jeśli wyrażeniu „język państwowy" lewica nada wykład dla równouprawnienia narodów groźny, żywioły autonomiczne muszą przeciw temu wystąpić z całą siłą. Akcentujemy ten obowiązek szczególnie dlatego, że centraliści dla skokietowania polaków zamierzają Galicyę wyłączyć z projektowanej ustawy. Lis dusi kury pojedynczo, bo gdyby na wszystkie rzucił się odrazu, możeby im nie dał rady. Tej samej taktyki chcą zapewne użyć niemcy: naprzód zabiorą się do czechów, a potem do galicyan. Ale gdyby ostatnim lisia metoda zapewniała wyjątkowe względy, nie mogą oni przykładać ręki do uchwalenia środka, który ich naturalnym sojusznikom szkodzi.

Z drugiej strony, zdaje nam się, że roznamiętnienie czechów idzie za daleko. Jeżeli (definicyę języka państwowego Lienbacher obiecał dać dopiero przy obradach) zamach centralistów wymierzony jest na wyparcie ich języka z urzędów krajowych,

walczą oni słusznie, ale jeżeli niemczyzna chce *prawnie* ubezpieczyć się tam, gdzie włada *faktycznie:* u dworu, w zarządach centralnych, w parlamencie wojsku—to nie ma o co karku łamać, tem bardziej, że tej konieczności dziś pokonać niepodobna. Nie znamy szczegółowo form parlamentaryzmu Austryi, sądzimy wszakże, że upior dałby się odpędzić uchwałą: ponieważ język niemiecki jest obecnie państwowym, zastrzeganie mu więc tej roli w drodze ustawodawczej byłoby zbytecznem.

W rozprawach nad tym przedmiotem wydobył się z dzienników młodoczeskich jeden wyrzut czy skarga, która istotnie ma podstawę i wyraża smutną dolę ludów słowiańskich w Austryi, mianowicie skarga na przyjaźń z konserwatystami. Ludy te przylgnęły do prawicy wstecznej i feodalnej, bo ona ofiarowała im poparcie dążeń autonomicznych, podczas gdy lewica, obłudny i przewrotny liberalizm dyszał tylko zagładą i uciskiem. Ale łatwo było przewidzieć—zaznaczaliśmy to niejednokrotnie — że słowianie nietylko będą musieli dla tego związku wypierać się swych przekonań, ale nadto zostaną zdradzeni przez swych sprzymierzeńców zawsze, ile razy do gry wejdą uczucia narodowe.

I to właśnie widzimy przy wniosku o języku państwowym: niemieccy członkowie prawicy zmykają jawnie i chyłkiem do przeciwnego obozu, z którym ich łączy wspólność pochodzenia. Nauczeni tym wypadkiem, przedstawiciele narodów słowiańskich w Austryi winni wcześnie pomyśleć o wytworzeniu nowych stosunków parlamentarnych i zorganizowaniu takiego stronnictwa, któreby miało wyższy mianownik wspólny i nie rozłamywało się, ani kurczyło przy najważniejszych sprawach.

W tymże przedmiocie korespondent nasz pisze:

Gdy numer niniejszy *Prawdy* dojdzie rąk czytelników, w stolicy naddunajskiej rozlegać się już będą okrzyki zwycięzców i jęki zwyciężonych, walczących o sprawę, dla wewnętrznego ustroju państwa austryackiego bardzo doniosłą, słowem o t. z. język państwowy. Rzecz to dla wielu niezrozumiała i nieznana, wyłożymy ją tu więc pokrótce, podając przedewszystkiem przebieg jej historyczny; jeżeli zaś nie zdołamy uporać się z przedmiotem naszym tak, jakby to było pożądanem, czytelnicy raczą wybaczyć, zważywszy, że sam projektodawca nie przeniknął jeszcze dotychczas, o co mu właściwie chodzi...

Autorem tego osobliwego wniosku jest hr. Wurmbrand, jeden z wybitniejszych członków klubu zjednoczonej lewicy w austryackim parlamencie, treścią zaś żądania, aby język niemiecki uznany został na drodze ustawodawczej za państwowy w Austryi. Wniosek odesłano zwykłą koleją postępowania do komisyi, gdzie też zaraz na pierwszem posiedzeniu zapytano hrabiego o znaczenie terminu „język państwowy,“ w dotychczasowem ustawodawstwie austryackiem a podobnie i ogólno-europejskiem zgoła nieznanego i nieużywanego. Na pytanie to Wurmbrand dał odpowiedź wymijającą; oświadczył bowiem, że chciałby wpierw wiedzieć, jaki jest wogóle pogląd rządu na postawione przezeń żądanie. Nieobowiązany do tego wcale udzielił jednak hr. Taaffe następujących wyjaśnień:

— Jeżeli wyrażenie: *język państwowy* ma oznaczać *urzędowy* lub *służbowy*, to wszelkie postanowienia w tym względzie należą do rządu. Jego to jest rzeczą zastosować język urzędowy lub służbowy podług pewnych zasad, podług potrzeb i wymagań pojedynczych krajów i ich mieszkańców. Dlatego też wydane zostały dla różnych prowincyj różne rozporządzenia a w niektórych (np. w Galicyi, Tyrolu, Istryi) określone zostały za przeszłych jeszcze (centralistycznych!) gabinetów rozmaite języki urzędowe. Z tych więc powodów język urzędowy i służbowy musi mieć odrębne znaczenie od państwowego. Czy zaś sejmom krajowym można narzucić niemczyznę, jako język obrad, kwestyę tę pozostawiam samym wnioskodawcom do rozstrzygnięcia.

Co zaś do stanowiska rządu, oświadczył prezydent ministrów, że gabinet obecny tylko wtedy będzie mógł wniosek hr. Wurmbranda uznać za praktyczny, jeżeli po jaśniejszem określeniu go nastąpi porozumienie między różnemi narodowościami i stronnictwami politycznemi,

Trudno orzec stanowczo, co tam właściwie może mieć na myśli hr. Wurmbrand i stojąca po za nim partya. Zdaje się jednak nie ulegać żadnej wątpliwości, że szowiniści niemieccy rozumują sobie tak: U steru dziś gabinet, sprzyjający drobnym indywidualizmom narodowym, większość parlamentu anticentralistyczna. Ustawę o języku państwowym postarajmy się przeprzeć teraz, aby jej cień padł nie na nas, lecz na obecny gabinet i dzisiejszą większość parlamentarną. Nowa ustawa nie zmieni zapewne w niczem istniejących stosunków, dopóki hr. Taaffe, albo jemu podobny władać będzie Austryą, nie zechcą jej bowiem wprowadzać w życie. No, ale przecież my, nie dziś, to jutro, dostaniemy się do steru, a wtedy... wtedy będziemy tylko wykonawcami woli przeciwnego nam stronnictwa! A już postaramy się, postaramy, wyzyskać nową ustawę! Język państwowy, to niby rzecz nieistniejąca, nic; a przecież wszystko! Język państwowy — to administracya, sądownictwo, szkoły, koleje...

Kluby prawicy wiedeńskiej Rady państwa w tenże sam sposób zapatrywać się muszą na intencye hr. Wurmbranda, jeżeli wniosek jego taki wywołał popłoch w szeregach obecnej większości, której zaniepokojenie trudno byłoby wytłomaczyć w przeciwnym razie. O cóż bowiem idzie? Na razie o nic więcej, tylko o sankcyonowanie tego, co już istnieje, wprawdzie nie na mocy ustawy, lecz zwyczaju i milczącego przyzwolenia. Wszak język niemiecki — mimo, że żadna ustawa tego nie nakazuje — jest dzisiaj faktycznie państwowym, jeżeli panuje u dworu, w armii, najwyższej instytucyi ustawodawczej (Rada państwa) i centralnych władz wykonawczych (ministeryum). Do dziś czyni jeszcze Austrya skutkiem tego wrażenie państwa niemieckiego, jakkolwiek już dawno być niem przestała. To jednak, co widzimy, jest aktem dobrej woli, a nie przymusu, wynikiem konieczności, a nie skutkiem rozkazu. Różnojęzycznej Austryi trudnoby się było inaczej porozumiewać.

Wspomnienia o Heinem.

Heine — to nietylko wielki pisarz, który umierając zostawia potomności swoje dzieła a historykom literatury swoją jasną i prostą biografię, ale nadto oryginalny człowiek, który ustawicznie wychodzi lub jest wywłóczonym z grobu, roznamiętnia dotąd sfery ukształcone sympatyą lub nienawiścią, żyje śród nich i podszeptuje im swoje dowcipne słowa. Ten ścisły jego związek z chwilą obecną nadaje wszelkim wspomnieniom z życia poety wielką wagę. Wysypały się one, w ostatnich czasach, zwłaszcza po śmierci żony Heinego, dość obficie. I oto znowu mamy dwa pamiętniki francuskie, które z opuszczeniem ustępów małoważnych podamy czytelnikom naszym. Naprzód opowiada swe *Souvenirs intimes* Aleksander Weill.

Książka ta, o ile nie zawiera cennego materyału, jest w wielu miejscach wsteczną, dziką, kopalną, jak elegia wskrzeszonego mamuta. Powtórzymy jej twierdzenia w nadziei, że czytelnik sam je oceni a jednocześnie przykładowo zobaczy, jaka to umysłowa fauna lęże się jeszcze w naszych czasach.

I.

Czyliż należy mówić prawdę o swych zmarłych przyjaciołach, opowiadając ich życie, prawdę, która byłaby im może niemiłą, gdyby jeszcze żyli? Czyliż nie jest pogwałceniem przyjaźni odsłanianie wad ludzi, których już niema, a więc niemogących się nietylko bronić, ale nawet wyrzucać nam wzajemnie naszych, gdzież bowiem jest istota ludzka bez ułomności, nawet bez występków! A zresztą, na cóż się zda przyjaźń, jeśli nie wybacza błędów? Jeżeli trzeba być aż doskonałym, ażeby mieć przyjaciela, to lepiej go się wyrzec: doskonałość nie potrzebuje ani przyjaźni, ani miłości. Pominąwszy to, że znalazłaby jej tyle, ileby tylko zapragnęła, wystarcza ona sama sobie. Cnota nie wymaga ani nagrody, ani nagradzających. Odkąd zaczyna ich szukać, przestaje być cnotą.

Pytanie to zadawałem sobie od lat przeszło dwudziestu, ilekroć tylko żądano odemnie rzetelnej opowieści o życiu domowem Henryka Heinego i Matyldy, pierwotnie jego kochanki, następnie żony, o życiu, które ja jedynie znałem, ponieważ, wciągu lat piętnastu, byłem codziennym świadkiem ich miłości i nienawiści, ich uciech i trosk, ich stron podniosłych i małostek, ich szczęścia i nieszczęścia, ich cnót wreszcie i wad. Przyrzekłem Heinemu, że przed śmiercią jego żony nigdy słowa w tym przedmiocie nie napiszę; przyrzekłem mu nadto uroczyście, że opowiem potomności o niegodnem z nim postępowaniu jego rodziny, ponieważ pewnych faktów nikt nie znał, prócz mnie jednego. Ściśle rzecz biorąc, nie potrzebowałbym bynajmniej oszczędzać pani Heine, która, powaśniwszy swego męża z wszystkimi przyjaciołmi, po latach piętnastu wypróbowanego stosunku, pod koniec życia Heinego poróżniła nas, dzięki niegodnej potwarzy, której zresztą mąż jej nie wierzył. Rozbrat ten przyjąłem chętnie — zbłaźniłem—ponieważ moja żona nie mogła nigdy sympatyzować z panią Heine, podobnie jak gołębica nie sympatyzuje z pawicą. Ale pomimo to wszystko, nie pisałbym mych wspomnień o Henryku Heinem, gdybym z jednej strony nie uznawał mojego opowiadania za użyteczne, niezbędne dla poetyckiej i literackiej młodzieży wszelkich krajów, mającej prawo zapytać, w jaki to sposób Niemcy, po takich ludziach, stały się jaskinią zbójów i świętoszków politycznych, którzy w imię *narodowości* konfiskują i trzymają, dzięki sile brutalnej, wbrew woli ich mieszkańców, Danię i Alzacyę z Lotaryngią itd., i gdyby z drugiej strony z mych piętnastoletnich rozpraw filozoficznych i religijnych z Henrykiem Heinem nie wypłynęły prawdy wielkie, w zarodku jeszcze, ale nowe, nieznane starożytnemu światu; prawdy, które, przebiwszy skorupę naszych zwłok, staną się niezbędnemi — o czem jestem najmocniej przeświadczony — dla jedności religijnej przyszłych czasów; prawdy wreszcie, co wykopią przepaść między starożytnym judaizmem, konającym i zmarłym, który Heine, w swej młodości, nazywał „nieszczęściem“ a mozaizmem nieśmiertelnym, odartym z cudów biblijnych obowiązującego pięcioksięgu, mozaizmem, który Heine pod koniec swego życia wygłaszał, do czego i ja wielce się przyłożyłem.

Szczególna rzecz, że przeciwko wnioskowi Wurmbranda oświadczyli się nawet centraliści. W komisyi językowej kilku członków lewicy dało do zrozumienia, że wcale sobie nie życzą, aby w sprawie tej powziętą została jakaś stanowcza uchwała. To też 13 głosami przeciw 7 komisya uchwaliła polecić Radzie państwa przejście do porządku dziennego. W sprawozdaniu większości zauważono, że wnioskodawca nie wyjaśnił znaczenia „języka państwowego.“ Jest to— zdaniem jej—dostateczny powód do odrzucenia żądania hr. Wurmbranda, który nie zdołał nakreślić granic, dokąd sięgać mają przywileje mowy niemieckiej. Mniejszość komisyi powołała się zaś na obecny stan rzeczy, żądając konstytucyjnego obwarowania jego, ale w sposób ogólnikowy.

Więcej, niż pewna, że w żądaniu hr. Wurmbranda mają centraliści ukryty cel donioślejszy. Nietyle im chodzi o utrzymanie *status quo*, bo nikt nań nie dybie, ile o zastosowanie ustawy w przyszłości, gdyby się kiedyś znowu dostali do rządów. Nie trudno odgadnąć, coby nastąpiło wtedy. Cały dorobek narodowców i autonomistów obróciłby się w niwecz, Austrya zaś wystąpiłaby znowu w pełnym uniformie niemieckim...

Taka różowa przyszłość, uśmiechająca się niemiectwu w Austryi, zaczyna się podobać niektórym także niemieckim członkom prawicy parlamentarnej, której węzły rozluźniły się nieco ostatniemi czasy. Interesy narodowe biorą górę nad sprawą konserwatyzmu i autonomii! To też przywódcy niemców na prawicy (Hohenwart-Liechtenstein) dokładają wszelkich starań w kierunku podtrzymania jedności, w której drobny wyłom uczynił już Lienbacher z dwoma towarzyszami.

Z wnioskiem Wurmbranda łączy się bezpośrednio — acz już mniejsze ma znaczenie — i równocześnie na stół Izby wniesionem zostanie żądanie posła Herbsta, w którem herszt lewiczaków domaga się zniesienia rozporządzenia o równouprawnieniu języka czeskiego z niemieckim. Oba wnioski idą pod obrady Izby posłów d. 28 b. m. Stronnictwa szykują się do boju śmiertelnego, rachując szeregi i obliczając możliwość wygranej. Jeżeli posłowie galicyjscy i dalmatyńscy stawią się na czas, prawica będzie miała głosów 172, lewica 165. Z tego widać, jak słabą jest większość. Nuż kilku deputatów spóźni się albo zachoruje — centralizm będzie tryumfował, a gabinet Taaffego, jeżeli mimo to pozostanie na swojem stanowisku, będzie się musiał jąć ostatniej deski ratunku—rozwiązania Izby i rozpisania nowych wyborów.

Nie piszemy tego z żalem. Prawica wyszłaby prawdopodobnie z nowych wyborów silniejszą a przy grupowaniu stronnictw doszukanoby się wtedy szerszych bezwątpienia podstaw. Stąd też na wynik głosowania nad wnioskiem hr. Wurmbranda czekamy z całym spokojem...

Rłt.

KATOLICY I KS. BISMARK.

Kościół wszędzie żyje w zgodzie z państwem i wszędzie się z niem kłóci: dla zgody ofiaruje mu on swoje konserwatywne zasady, dla niezgody — swoje nadmierne pretensye. Ks. Bismark — jako polityk realny, który nie ma nic nawet przeciwko nieomylności papieża, bo ona jest „nieszkodliwą“ — pierwsze przyjmuje, ale drugie niemiłosiernie obcina. Operacyi takiej dokonał on przed dziesięciu laty w t. z. ustawach majowych, które ścieśniły koło swobody duchowieństwa katolickiego aż do niesprawiedliwości i z tego względu popełniły błąd. Ile razy władza nie dopatrzy granicy, do której sięgnąć może, musi cofnąć się nawet z tego pola, które jej zająć wolno. Kanclerz niemiecki, zdolny i pohopny przedewszystkiem do absolutystycznego radykalizmu, zapomniał o tem; nie zważył, że wcisnąwszy się za daleko w sferę praw duchowieństwa, da mu niebezpieczną broń w rękę i będzie musiał rejterować. Dopóki ustawy majowe nie wypróbowały się w życiu, można je było teoretycznie bronić; ale gdy praktycznie wykazały swoją surowość — gdy np. pakowały do kozy księży za udzielenie umierającym bez pozwolenia sakramentów—nawet ich twórcy zaczęli pomału wątpić o moralnej wartości swego dzieła. Wyzyskując tę zmianę usposobień, posłowie katoliccy domagali się coraz natarczywiej powrotu dawnych stosunków, aż nareszcie po długim szeregu podjazdów, uwieńczonych drobnymi łupami, zawarli swe żądanie w osobnym wniosku, przywracającym moc zawieszonych paragrafów konstytucyi (15, 16, 20), który właśnie przed kilku dniami w sejmie pruskim — odrzucono. Bo następca tronu pruskiego może odwiedzać papieża swoją drogą, a ks. Bismark deptać katolików—swoją. Jak to stale zaznaczamy, lubi on porozumiewać się tylko z panami, a sługi lekceważy. Dla niego stroną czy przeciwnikiem — papież, ale nie Schorlemer-Alst, albo nawet „najwcześniej wstający“ Windhorst.

„Kulturkamf“ nie jest procesem miejscowego tylko interesu, ale posiada on znaczenie ogólniejsze, które i nas obchodzić winno. Jedną z najważniejszych zagadek praktycznych i dotąd nigdzie należycie nierozwiązanych kryje w sobie stosunek kościoła do państwa. Wynaleźć dlań taką postać, którąby z jednej strony nie tamowała swobody religijnej, a z drugiej — nie przynosiła szkód postępowi umysłowemu, jest nieosiągniętym dotychczas celem wolnomyślnych polityków i obywateli. Wszystkie formuły: wolny kościół w wolnem państwie — zupełna niezależność dwu potęg itp. — pięknie brzmiące w teoryi, nie okazały się skutecznemi w praktyce. Od ks. Bismarka, który tyle węzłów gordyjskich rozciął, oczekiwano długo, że i ten rozpląCze. Tymczasem wiara się omyliła. Wziął on duchowieństwo w kleszcze, wsadził w ogień, bił młotem na kowadle, ale nic z niego nie wykuł. Czem było, tem jest, a tylko nabrało więcej hartu. Jeżeli jakiś naród nie podjął sprawy ustosunkowania kościoła z państwem, to ją niewątpliwie prędzej

---

I rzeczywiście, jakże się to stało, że po tylu geniuszach poetyckich i literackich, Niemcy, a za niemi cała Europa, pogrążone są w zupełnej dziczyźnie? Nie należy bowiem taić tego przed sobą, że nigdy zasady świata barbarzyńskiego średnich wieków nie miały tak silnego obiegu, jak od ostatnich lat trzydziestu! Europa w istocie szalonym biegiem zawraca ku pełnemu barbarzyństwu, polegającemu jedynie na tryumfie siły kosztem prawa i bezwzględnej sprawiedliwości. Bismark, Atylla XIX stulecia, którego nazwisko służyć będzie za symbol odrazy dla historyków przyszłości, jest jego żywem wcieleniem. Ta siła brutalna, urzędowa i wprowadzona nie dla obrony, lecz dla napaści, nie dla wyswobodzenia, lecz dla uciemiężenia narodów, to uzbrojenie narodowe, które uczyni i nawet już uczyniło z wszelkich narodowości zlepek ułanów najrozmaitszego kroju, rozpłynie się, rozłoży w wojnie powszechnej zagłady, w wojnie, w której się już nie rozpoznają wrogowie i przyjaciele i której ofiary, również jak ich konie, zwycięzcy, zarówno jak zwyciężeni, znajdą chyba taki głos poetyczny, co dla wyrażenia nad nimi litości lub przekazania ich imion potomnym użyje jedynie słów wzgardy i przekleństwa.

Czemu więc przypisać, że tylu ludzi wyższego ducha a nawet geniuszów nie miało wpływu cywilizacyjnego na narody, z których łona powychodzili? Temu, że fakty naturY materyalnej, czyny są zawsze dziećmi myśli, ducha. Słowa są rodzicami czynów. Skądże to pochodzi, że Francya nigdy jeszcze nie była tak małą, tak pokaleczoną, niestety, jak ódkąd posiada tylu tak zwanych wielkich mężów w literaturze, polityce i sztukach pięknych? Skądże to pochodzi, że Niemcy są dziś tylko brudnemi koszarami, bez ideału, geniuszu, talentu, poezyi, muzyki — Wagner bowiem jest dla muzyki, czem Bismark dla cywilizacyi: plagą! — po takich poetach jak Goethe i Heine? Skądże to pochodzi, że jedynie Włochy wzrosły od lat czterdziestu, i nie postępując już dzisiaj śladami Mazziniego, Giobertiego, Manina i Cavoura, wchodzą na manowce i barbaryzują się najwidoczniej?

Pochodzi to stąd, że narody nie wzorują swego życia podług życia swych królów, lecz podług swych mężów i poetów genialnych. A jeśli czyny i ruchy tych ludzi w ich pismach, a nadewszystko w ich życiu publicznem i prywatnem, nie odpowiadają wymaganiom sprawiedliwości i cnoty, wielka masa, idąc za ich przykładem, wyswobadza się z wszelkich obowiązków, z cnoty, patryotyzmu, który jest poświęceniem interesów i namiętności na rzecz narodu. Cnoty utrzymują się dzięki więzom, podobnym do tych, które łączą wspinających się na szczyty śnieżne z ich przewodnikami. Niech jeden się potknie, drugi stoczy się do przepaści. Cnota posuwa się od dołu ku górze, występek stacza się z góry na dół. Nieszczerość, zyski, niecnota, opiewane w pismach i sławione w życiu przewodników duchowych ludzkości—tępią w krótkim czasie wszystkie cnoty, wszelkie uczucie honoru i poświęcenia w życiu narodu.

Prawda, że ci geniusze dla dogodzenia swym ułomnościom, dla pogwałcenia wszystkich obowiązków społecznych, wynaleźli *postęp musowy i nieustanny*, postęp, który, jeśli im wierzyć, istnieje sam. bez nich i pomimo nich, bez względu na to, czy człowiek jest cnotliwym lub występnym, uczciwym lub nieuczciwym. Kłamstwo, dziecię obłudy! Maksyma zgniła, córa zgangrenowanego występku! Starczyło jednego Goethego i Heinego w Niemczech, jednego Wiktora Hugo i Musseta we Francyi, wszystkich ich *epigonów*, naśladowców, wyszłych z ich łona, ażeby całą Europę w ciągu lat czterdziestu cofnąć w średnie wieki, a nawet dalej jeszcze, żeby narody, oddając się wszelkim występkom, podnosząc je do godności cnót, nie mogły już zrozumieć nic, prócz powodzenia materyalnego i zwycięstwa siły brutalnej, bez względu na to, czy owo powodzenie i zwycięstwo są owocem zbrodni i niesprawiedliwości—ażeby uczynić zamiast ludzi—kieszonkowych złodziei, rozpustników i blagierów.

Bez moralności nietylko każdy naród ginie jako wolny i wpada w niewolę, ale sam wyraz ojczyzna niema dlań znaczenia. Ateizm jest zbrodnią obrazy narodu, orgią niewolników, która się w prędkim czasie kończy kataklizmem gwałtownym. Stąd wynika, że każdy człowiek genialny, głoszący ateizm lub występek, będący jego chwałą, jest wrogiem, gorszycielem narodu, jego zdrajcą, złoczyńcą wobec ludzkości.

Henryk Heine należał do podobnych przestępców, tem winniejszy, że nieszcze-

czy później podjąć musi. Stara to dolegliwość, którą już nasz Ostroróg badał i leczyć usiłował. Otóż dla wszystkich ludzi szczerze wolnomyślnych przykrym jest widok ciągłych pomyłek i niemocy wobec zadawnionej choroby, która wyniszcza Europę bardziej, niż by się na pozór zdawało. Najznakomitsi mężowie stanu. którzy rozwiązują najtrudniejsze zadania, w tem jednem ciągle popełniają błędy. Wiekowy i demoralizujący proces ciągnie się jak plaga, nie dając światu nadziei prędkiego wyroku.

Może najszczęśliwszą miał myśl prof. Hänel, gdy przy obradach w sejmie pruskim rzekł: „Państwo powinno osłaniać swobodę religijną nawet przeciwko hierarchii kościelnej. Z tego stanowiska sądzę, że ono najlepiej rozgraniczyłoby obie sfery, łącząc ustawy kościelne z gminnemi, a swój nadzór nad kościołem powierzając organom gminy.“ Że takie rozwiązanie przedstawia liczne korzyści — dowodem Szwajcarya. Uznać kościół za sieć związków, zależnych od ustroju prowincyonalnego, nie ścieśniać go z góry, lecz poddać pod kontrolę zarządów komunalnych u dołu, nie uważać go za państwo w państwie, lecz za zbiór stowarzyszeń religijnych — oto jest chyba najpewniejszy środek zaradzenia starej biedzie i pogodzenia odwiecznych nieprzyjaciół.

NOWY ORGAN W ANGLII.

Na innem miejscu dzisiejszego numeru *Prawdy* znajdzie czytelnik oświadczenie amerykańskiego autora książki *Postęp i nędza*, wykazujące że ruch socyalistyczny w Anglii groźnie wzrasta a nawet otrzymuje z wysokich stanowisk poparcie. Jeżeli Europę nawiedzi w bliskiej przyszłości jakaś rewolucya, z pewnością nie będzie to ani szeroki przewrót polityczny, ani religijny, ale ekonomiczny. Dlatego wszystkie znaki, zapowiadające tą burzę, wszystkie objawy wielkich konwulsyj społecznych są przedmiotem szczególnej uwagi ogółu i dziennikarstwa.

Chociaż socyalizm, jako wichrzycielska agitacya, jest na liście proskrypcyjnej wszystkich krajów, zdołał on wciągnąć w swój prąd nawet sterników państw. Wiadomo, że ks. Bismark jest co najmniej ćwierć krwi socyalistą. Znamiona tej chorągwi podnoszą również częściowo ministrowie francuscy, a jak widzimy ze słów George'a, i angielscy. Wszyscy ci jednak mężowie stanu nie przyznają się do żadnego powinowactwa z propagatorami, i rzeczywiście przedstawiają różny od nich gatunek. Różnica owa tkwi w konserwatyzmie. Na widmo socyalistyczne zarzucono płaszcz zachowawczy i w tym stroju przechadza się ono swobodnie po parlamentach i ministeryach. A jak ustrój kapitalistyczny, Zakon stary ma swoich wsteczników i radykałów, podobnie i nowy, tak, że A. Wagner istotnie odskakuje od K. Marxa a Bismark od Bebla. Już dawniej się to stało, a dziś staje się coraz częściej, że na szeroką rzekę spuszcza za innymi swe łódki duchowieństwo. Wspominaliśmy niejednokrotnie o małżeństwie religii z socyalizmem, obecnie z ambony kościoła anglikańskiego spadła nowa takiego ślubu zapowiedź. Świeżo narodził się *Church-Reformer* organ „chrześciańsko-socyalistycznej partyi,“ której założyciele odbyli w Londynie naradę nad przeprowadzeniem „najlepszych systematów socyalistycznych.“ Profesor Symes miał na meetingu wykład „o urzeczywistnieniu socyalizmu przez opodatkowanie,“ w którym ostro wystąpił przeciwko nierównemu podziałowi bogactw i zyskom producentów. Według niego, środek zbawczy twi w zasadzie: „bogatym odjąć, ubogim dać;“ nikt nie może brać za złe narodowi angielskiemu, że on żąda dziesiątej części zysku od kapitalistów, kupców i fabrykantów. Ludność biedna i robotnicy — zdaniem Symesa — powinni kosztem bogatych otrzymać dobre mieszkania (po 3 pokoje), bezpłatne wychowanie dla dzieci w szkołach wraz z pożywnym codzień objadem (od 5 do 14 roku). Ziemia również musi być jak najwyżej opodatkowaną.

Inny mówca zalecał żądanie przymusowego udziału robotników w zyskach przedsiębiorstw, w którem pracują. W tymże duchu głosowali wszyscy.

Niedawno oświetlaliśmy fakt, świadczący, że wiara hierarchii kościelnej w skuteczność wpływów religijnych przeciwko socyalizmowi jest złudzeniem. Oto nowy dowód słuszności naszego poglądu. Duchowieństwo, nastręczające się ze swem lekarstwem na wszelkie choroby, które żadnej nie usuwa, powoli nasiąka prądami epoki wtedy, gdy głosi, że ich fale odbijają się od niego, jak od skały. Już dziś widzimy zdecydowanych socyalistów między księżmi, jak między robotnikami. I do tego więc lekarza zawołać można: *medice cura te ipsum!*

Zagadnienia ekonomiczne — powtarzać to ciągle będziemy — rozwiązywać można tylko środkami ekonomicznymi: zapomocą zmian prawodawczych, reform, lub gdzie starcie jest zbyt zacięte — rewolucyą. Właśnie dążeniem państw być powinno, ażeby do krwawego sądu tej sprawy nie dopuścić.

WERBUNEK I OCHOTNICTWO.

Na sumieniu naszem nie ciążą chyba grzechy teatromanii; w kolumnach *Prawdy* nie siedzi żaden świerszcz teatralny, który w tylu innych pismach aż do znudzenia skrzeczy na jedną i tąż samą nutę; serca naszego nie rozdzierał i nie rozczulał ani ten lub ów reżyser, ani aktor lub kierownik sceny, o którym napisano tomy, z którym łączono wielkie obawy lub wielkie nadzieje. Nie znaczy to jednak wcale, ażebyśmy lekceważyli ów przybytek sztuki. Zajmujemy się też nim — w miarę. A dziś, wolni od nadużyć w przelewaniu z pustego w próżne przed ołtarzem warszawskiej Melpomeny, poświęcamy słów kilka jej służbie.

Od pewnego czasu pisma nasze koleją głośno nad zbyt jaskrawo ujawnioną protekcyą dla jednej aktorki, wyposażonej wdziękami a pozbawionej talentu, która kolejno gra pierwszorzędne role i kolejno

---

ry. W głębi serca był zawsze deistą i arystokratą, lecz był namiętnym i nie wierzył, ażeby wady, występki jednostki, chociażby nawet geniusza, wywierały wpływ bezpośredni na pochód ludzkości. Nie mogąc oddać się namiętnościom w imię Jehowy, tem mniej w imię Jezusa, w którego nie wierzył, nakładał sobie maskę bądź ateusza, bądź to greka olimpijskiego, ażeby swe praktyki postawić na wysokości swych maksym.

Pochodził on od Goethego, podczas gdy przeciwnik jego, Ludwik Boerne, był synem duchowym Schillera. Pozostał zawsze żydem w głębi swej duszy; lecz ponieważ judaizm, bądź Mojżesza, bądź Ezry lub Talmudu, potępia każdy występek i wymaga cnót prawie nadludzkich, wyłączając wszelkie rozkosze materyalne po za miłością prawowitą i pokarmem niezbędnym dla utrzymania życia, nazwał się grekiem, synem Alcybiadesa i Arystofanesa, żeby módz sobie pozwolić wszelkich grzeszków Jowisza i Merkurego. Hugo jest daleko szczerszy. Nie wierzy w cnotę. Zamiast przymieszać ziarno występku do cnoty, co odpowiada prawom natury, ponieważ niema stworzenia ani duchowego, ani materyalnego, jednakowego we wszystkich swych częściach, wrzuca ziarno cnoty w najbardziej zbrodniczy występek, rozpuszcza go i rozgrzesza.

Jego to zbłąkanemu gieniuszowi Francya, naprzód literacka, następnie polityczna i społeczna, zawdzięcza swe zepsucie i upadek. Inni, od lat czterdziestu, są już tylko jego synami, skrofulicznymi od urodzenia*).

Heine mówił o Wiktorze Hugo — to jest wielki człowiek, to człowiek ogromny! Zapewne, Hugo nie jest wielkim mężem przez swe życie, pełne ułomności i skąpstwa, ale jest to największy gieniusz XIX wieku, i kiedy schodzi z manowców, wiodących do przepaści występku, który zamienia w cnotę, czego nawet sam Bóg nie mógłby uczynić; kiedy z wiekiem uwalnia się od namiętności cielesnych, wart jest sam jeden całych zastępów. Wywrócił cesarstwo, ale on także był jego ojcem duchowym. Nigdy Napoleon III nie byłby istniał bez *Hernaniego* i *Ruy Blasa*, których był żywem wcieleniem z ich samolubstwem, junakieryą polityczną, ich ułomnościami społecznemi i nikczemnością moralną. Heine tedy, pomimo wielki swój gieniusz poetycki, pomimo swój dowcip ostry i świetny, nie wywarł wpływu zbawczego na swój kraj. Podobnie jak Hugo, był wielkim rewolucyonistą dla swego języka, w którym posiekał na drobne sztuki grube sztaby niemające obiegu, aby wyrobić z nich medaliki złote i srebrne. Jestto prozaik, niemający sobie równego. Zrewolucyonizował także poezyę liryczną zarówno pod względem stylu, jako też i śmiałości obrazów, ale nie wywarł bynajmniej wpływu moralnego i bezpośredniego ani na wielkich, ani na maluczkich. Pierwszych rozjątrzył nieszczerością swych zasad, ostatnich — negacyą wszelkiej religii, którą wyszydzał w imię ateizmu jednocześnie artystycznego i sceptycznego, chociażby tylko dlatego, aby nie uszedł za żyda, z czego Boerne był dumny. I kiedy pod koniec swego życia, publicznie przyznając się do winy, zwrócił się znowu do Boga Mojżesza, było już zapóżno: naród przypisał to nawrócenie jego chorobie i słabości umysłowej ciała zbolałego i zgrzybiałego.

Fatalność grała pewną rolę w tem życiu tak udręczonem, ale fatalność istnieje tylko dla charakterów słabych. Silne chwytają ją za bary i duszą. Co prawda, Heine uważał się za większego, niż nim był w istocie. Któż z nas nie przypisuje sobie większej wagi, niż ją rzeczywiście posiada! Wraz z wszystkimi sławionymi poetami swej epoki sądził, iż boski przywilej gieniuszu i dowcipu był biletem wolnego wejścia, *passe-partout* dla wszystkich namiętności ciała i szydził z cnoty i praw, jako wytworów niemocy i mierności, zapominając, przeciwnie, że geniusz i dowcip zobowiązują, że za te przywileje należy płacić największymi przykładami poświęcenia i obowiązku, i że na tem jedynie polega chwała prawdziwa, ponieważ ona to wyłącznie jest owocem wolności i swobody woli, nie zaś urodzenia i fatalności. Uważał się — powiedział mi to pewnego dnia — za Boga na ziemi, co najmniej za pół-boga, pozwalając sobie wszelkich zboczeń życia filistyń-

*) Nie jest że to fatalnym zbiegiem okoliczności, że statua Strasburga na placu Zgody przedstawia pannę Juliette, metresę Wiktora Hugo?! (*Przyp. aut.*).

pod ich ciężarem upada. Nie zaglądamy za kulisy i nie badamy tych tajemniczych stosunków, które mierności ciągle naprzód wysuwają, a talenty ustawicznie cofają. Ale nawet dla patrzących zdala widocznym jest niezwykły fakt zniżenia się wartości sił żeńskich w teatrze naszym. Gdzie są czasy, w których scenę warszawską zdobiła Modrzejowska, Deryng, Popiel? Czy panie: Ładnowska, Czaki, Wisnowska itd. — zdolne są zastąpić swe poprzedniczki i podtrzymać sławę wzorowej niegdyś sceny? Prawda, że jakaś aktorka protegowana gra nieudolnie, ale czy inna gra znacznie lepiej, czy gra należycie? Bynajmniej. Wybierać można w obecnym składzie zwykle tylko między złą i gorszą, a nie między lichą i doskonałą. Pani Ładnowska nie jest właściwą do roli wojewodziny w *Mazepie* albo Małgorzaty w *Fauście*, ale któraż jest właściwą? Nie odpowiadajmy na protekcyę uprzedzeniem i wyznajmy szczerze, że — żadna. Personel żeński składa się z sił małych lub średnich, wielkich niema. Dlaczego?

Zapomnijmy na chwilę o „świątyniach“— „przybytkach sztuki“ i powiedzmy sobie trzeźwo, że teatr jest przedsiębiorstwem. Z natury zaś tego przedsiębiorstwa wynika, że ono nie może czekać na siły, lecz musi o nie starać się. Gdyby posiadało szeroki, napełniony złotem worek a więc środki do współzawodnictwa, nęciłoby talenty z całego świata. Ale teatr nasz dźwiga długi i swą służbę artystyczną opłaca skromnie; ubóstwo zatem musi nagradzać zabiegami. Widzimy te zabiegi? Nie. Co w trupie warszawskiej dobre, to stare, co nowe — mało warte. Teatr przyjął za wskazówkę swej działalności zasadę, która może zaopatrywać urzędy, lub kantory, ale nigdy przedsiębiorstwa artystyczne. Jeżeli kolej żelazna nie wyszukuje referentów, techników lub konduktorów, lecz czeka, aż oni sami do niej przyjdą, postępuje roztropnie, bo wie, że zgłoszą się niewątpliwie. Teatr wszakże metody takiej używać nie powinien, gdyż nie zbraknie mu konkurentów i konkurentek, ale napłyną oni z tą falą, dla której kierunek biegu jest obojętnym i która zwraca się tylko ku łatwym ujściom. Dymisyonowany kancelista, zrujnowany obywatel, nadewszystko zaś wszelkiego rodzaju rodzaju rozbitki żeńskie dążą ku tej przystani. Jedna występowała w przedstawieniach amatorskich, druga ma kuzyna w teatrze, trzecią zawiodła miłość, czwartej uprzykrzyła się praca w magazynie — ot i gotowe artystki. Nic też dziwnego, że występują na naszej scenie takie, których jedyną zaletą jest ładna buzia, wdzięczny uśmiech lub umiejętność płakania. Zawód aktorski wymaga uzdolnień specyalnych. Ktoś może być zarówno dobrym naczelnikiem banku, radcą zarządu gubernialnego lub zawiadowcą stacyi kolejowej, ale aktorem trzeba się urodzić.

Teatr nasz do pewnego stopnia zależy od wpływów opinii, która czując swój obowiązek, winna stosownie na jego zarząd oddziaływać. Odziaływać zaś nie ostrzeliwaniem tej lub innej osobistości, ale wykazywaniem potrzeby zmian w zasadach. Fałszywym śród tych zasad jest przedewszystkiem sposób zyskiwania sił, znoszący wszelką niemal inicyatywę ze strony dyrekcyi i pozostawiający scenę wolnemu i przypadkowemu współzawodnictwu. Dzięki tej omyłce żadna lepsza artystka długo się nie trzyma, a śród tak licznego personelu niema ani jednej prawdziwie dramatycznej. Zamiast werbunku — ochotnictwo, zamiast sztuki—licha robota.

Z GALICYI.

Lwów, 20 stycznia.

P. Fryling i p. Filippi-Myszuga. — „Barbarzyński“ język i opera „polska“ we Lwowie. — Panna Herman.— *Carmen.* — Nekrolog lichwiarza. — Dziwny objaw.— Bank krajowy.—Dr. Zgórski.—Niespodzianka dra Zyblikiewicza.

Sposób, jakiego użył p. Fryling, chcąc p. Myszudze dać jakąś nauczkę, nie wydaje mi się zgodnym z nowoczesnemi zasadami wychowania (mam na myśli *pedagogię* — nie *savoir vivre*), wzbraniającemi użycia kija, które najfatalniej może czasami oddziałać na głowę albo raczej na umysłowość ucznia. Że rzecz ma się w istocie tak, jak mówię, dowodem właśnie rusin, p. Myszuga — *pardon!..* włoch, p. Filippi. Inteligencya jego, wątpię, by kiedykolwiek szwank jaki ponieść mogła, zyska nawet coś, być może, po ostatniem wstrząśnieniu — ale głowa... *Oj, bidnaż ty, bidna, hołowońko moja!...*

Ponieważ do głowy p. Myszugi nie mam żadnych pretensyj, nie powinienbym się cieszyć, że autor *Klątwy rabinów* wywarł na niej swój gniew bezlitosny. A jednak — jakkolwiek nie piszę się wcale na pedagogiczny system p. Frylinga — wyznaję otwarcie, że uczuwam pewną złośliwą radość na wspomnienie cierpień naszego tenora, o tyle większą, o ile każdy dzień bardziej nasupewnia, że cierpienia te nie są znowu tak wielkie, jak je przedstawić zrazu usiłowano. Okazało się bowiem, że ciężkie uszkodzenie odnosiło się właściwie tylko do... peruki minstrela, sama zaś nieoceniona głowa jego niewiele została uszkodzoną.

Ale mam inny, ważniejszy powód do złośliwej uciechy. P. Myszuga, *gente ruthenus, natione*—kosmopolita, nie może żadną miarą zrozumieć tego, iż na polskiej scenie nie wypada śpiewać inaczej, jak tylko po polsku. tem bardziej, że Wydział krajowy pod tym tylko warunkiem wysłał go swoim kosztem na naukę za granicę a dyrektor teatru przyjął do personelu operowego. Tymczasem p. Myszuga z wyjątkiem *Halki* i *Strasznego dworu* wszystkie zresztą partye śpiewa lichą włoszczyzną, w której tak dalece się lubuje, że—jak utrzymują złośliwi — kazał sobie libretta Moniuszkowskich nawet oper przełożyć na język włoski. Zuchwalstwo p. Myszugi, dosyć względnie przez miejscowe pisma traktowane, dochodzi do tego stopnia, iż spanoszały tenor ośmiela się oświadczyć, że w „barbarzyńskim“ języku śpiewać nie będzie wcale!...

Wobec tego trudno się dziwić publiczności, że w czasie przedstawień szemrze przeciw p. Myszudze, jakkolwiek silny i piękny głos jego tenorowy wywołuje podziw powszechny. Nie dziwcież się i mnie, że zamiast współczuć z obitym, staję po stronie bijącego *), który nie miał zgoła na myśli ranić, lecz tylko zelżyć przeciwnika, uwięzieniem zaś jeszcze w ciągu śledztwa

*) My—nie; poniewieranie mową rodzimą jest grzechem, ale rozbój także. *Przyp. Red.*

---

skiego. Nie wierzył przedewszystkiem w sprawiedliwość Jehowy na tej ziemi, pomimo swego uwielbienia dla Mojżesza. Dopiero po upływie pięciu długich lat cierpienia przyznał, że nie był bogiem, ponieważ bogowie — mówił do mnie — nigdy nie potrzebowali, ile to mu było wiadomem, używać lewatywy. Bardzo być może — dodał —że Jehowa chociażby jedynie dla zrobienia przyjemności swemu wynalazcy, Mojżeszowi, mścił się za pychę swych maryonetek ludzkich na ziemi, których nitki trzymał w swej ręce i z któremi odgrywa komedye i dramaty dla rozerwania nudów swych aniołów. Co do mnie — ciągnął dalej — byłem złym komedyantem. Nie dałem, rzecz pewna, miary moich sił. Wziąłem świat za bal maskowy i spacerowałem na nim z przyprawionym nosem, ażeby mówić prawdy dominom wszelkich barw.

— I na domiar nieszczęścia—odparłem— polubiłeś pan jedno z tych domin!

— Ah— odpowiedział—gdybym miał żonę, podobną do pańskiej!

— Alež—przerwałem mu — żonę miewa zwykle każdy taką, na jaką zasługuje. Szukałeś pan piękności, masz ją. Ja szukałem rozumu i znalazłem go.

— Dajmy pokój — zawołał — unosząc się z trudem na swem siedzeniu. Bo kto jest swobodnym w wyborze żony? Nie więcej, niż w wyborze urodzenia i religii. Człowiekowi pozostawiona jest tylko jedna swoboda—śmierci! Oto wszystko, na co mu Bóg pozwolił!

— Ale masz pan zupełną swobodę zmiany religii a nawet ojczyzny.

— Nie zmienia się religii. Porzucasz jedną, której już nie masz, dla drugiej, której nigdy mieć nie będziesz. Jestem *chrzczony*, lecz nie *nawrócony*. Zresztą, wszystkie są jednakowe. Jedne łamią kołem swych klientów z góry na dół, inne — z dołu ku górze. A co do kobiet, czyż człowiek wie, jaką pokocha jutro? Wielki Mojżesz czyż nie popełnił szaleństwa i nie pojął za żonę młodej kuszytki, mając lat dziewięćdziesiąt. Jego siostra, Miriam, nigdy mu tego nie wybaczyła, podobnie jak mnie nie wybaczyła moja małżeństwa z Matyldą, chociaż miałem tylko lat czterdzieści.

— Zapewne—odparłem — człowiek jest niewolnikiem warunków. Wynika to z prawa solidarności. I jeżeli nie jestem jednym z pierwszych tenorów Europy, na jakiego stworzyła mię natura, stało się to dzięki barbarzyństwu ludzi dawniejszych i dzisiejszych, którzy żyją w niechlujstwie i dzięki nieświadomości naszych lekarzy i ich władzy dyskrecyonalnej nad chorymi — co jest infamią. Na każdą dawkę trucizny, którą przepisują, należałoby żądać zgody trzech lekarzy! Ale nie jestem zdania Larochefoucaulda, utrzymującego, że „człowiek niezdolny rozporządzać swemi namiętnościami więcej, niż długością swego życia.“ Można nietylko zwyciężyć swe żądze, ale nadto, dzięki hygienie i czystości, przedłużyć swe życie. Podobnie też pańska choroba nie ma nic wspólnego z fatalnością. Jest ona wynikiem pańskich żądz nieokiełznanych—mówmy otwarcie — rozpusty samowolnej. Małżeństwo pańskie, swobodne lub nie, byłoby jeszcze pana uchroniło od wielu przykrości, gdybyś pan był pozostał wiernym swojej żonie. Ona, pomimo wszelkie pokusy, pomimo pańską niestałość, nie przeniewierzyła się panu. A jest to rzecz główna. Oto dlaczego ją kochasz, pomimo jej wad licznych. Zginamy kolano przed pięknością, lecz pochylamy głowę przed cnotą *).

— Wiecznie to samo — odpowiedział. Jeżeli nie miałem dość rozumu dla zwyciężenia mych namiętności, to dlatego, że namiętność moja była od niego silniejszą. Nie miałem wolności zwyciężenia, bo nie dałem sobie sam ani pierwszego, ani drugiej. Od urodzenia zarodek jej tkwił w mojem ciele i duszy, podobnie jak dar poezyi.

— Fałszywe wyjście, mój drogi, zapożyczone od Fryderyka Wielkiego! Odkąd posiadasz świadomość niemocy rozumu i siły namiętności, przez swoją wolę, możesz wzmocnić rozum i osłabić namiętność. Na tem polega życie i opiera się odpowiedzialność wszystkich istot żyjących. Życie jest bitwą, której naczelnym wodzem — rozum. On to rządzi osobnikiem i światem, ponie-

*) Wszystkie moje rozmowy z Heinem notowałem przed dwudziestu przeszło laty. (*Przyp. aut.*).

ukarany został za swą porywczość zanadto może srogo. Panna Herman... Przepraszam, nie wypada mi pisać o niej w tym ustępie...

Owóż panna Herman śpiewała *Carmen* mimo niedyspozycyi pierwszego tenora, całość zaś o tyle lepiej wypadła, że zamiast włoszczyzny p. Myszugi, słyszeliśmy p. Almę, śpiewającego po polsku. Panna H. podobała się powszechnie w powyższej roli, tak dalece, że sprawozdawca jednego z tutejszych pism zawyrokował niby w imieniu całej tutejszej publiczności: *Carmen* — to Herman!... W zdaniu tem, wyglądającem na paradoks, jest rzeczywiście wiele słuszności. Panna Herman ma tylko jedną wadę: dziwną, zmanierowaną, nieestetyczną nawet czasami mimikę, mącącą wrażenie piękna, wlewającego się w duszę widza-słuchacza przez wzrok i ucho.

Trochę to nie łatwe przejście z dziedziny piękna do kantoru wekslowego a jednak uczynić tak muszę, gdyż fakt domaga się zanotowania. Chcę mówić o Banku włościańskim. Upadek tego zakładu finansowego jest już rzeczą niemal dokonaną, a 38.000 chłopów-dłużników może sobie zawczasu posprawiać torby żebracze, są oni bowiem zarazem poręczycielami długów tej poczciwej instytucyi. Być może, iż do konkursu nie przyjdzie, w każdym jednak razie nastąpi likwidacya, której podejmie się prawdopodobnie Bank krajowy. Tak czy inaczej, w każdym razie najlepiej na tem wyjdą ci, co pożyczając 250 guldenów i spłaciwszy 50 — winni są zakładowi 400... Trudne to do uwierzenia a jednak prawdziwe!

Może jeszcze zawcześnie na pisanie nekrologu, nie zawadzi jednak podać kilka dat z życia tej lichwiarskiej instytucyi. C. k. uprzywilejowany galicyjski Zakład kredytowy — tak brzmi Banku włościańskiego firma urzędowa — założyli przed laty piętnastu metropolita ruski, ks. Litwinowicz, baron Romaszkan, ormianin i niepewnej barwy narodowej żyd tutejszy, dr. Fried. Dyrekcyę składali: Romaszkan, Fried i dr. Wiktor Zbyszewski. Od narodziu swych aż po koniec r. 1882, a zatem w przeciągu lat 14 udzielił Zakład pożyczek na 69,415 gospodarstw włościańskich w ogólnej sumie 14,649,000 złr. środki egzekucyjne przedsięwziął Zakład przeciwko 10,252 dłużnikom, z których 2,941 pozbawionych zostało ojcowskiego kawałka ziemi. Podnieść jeszcze wypada, że tylko 797 gospodarstw przeszło w posiadanie osób trzecich, resztę zaś nabył na swój własny rachunek Bank albo też jego urzędnicy...

Wobec osławionego zdzierstwa i okrucieństwa w ściąganiu wierzytelności nie łatwo rzeczywiście odgadnąć, co spowodowało dyrekcyę tego Banku do wstrzymania wypłaty kuponu styczniowego. Wszak zlicytowanie gospodarstw chłopskich mogło śmiało pokryć wypłatę kuponu, nie przypuszczano zaś, aby ni stąd, ni zowąd, po kilkunastoletniej wręcz przeciwnej praktyce, w sercach dyrektorów, czy radców-zawiadowców nieludzkiego banku zrodziło się jakieś uczucie miłosierdzia...

Wspomniałem, że likwidacyę długów obejmie prawdopodobnie Bank krajowy. W tej najmłodszej u nas instytucyi finansowej planetą panującą — przynajmniej w tym roku — jest dr. Alfred Zgórski, b. dyrektor Towarzystwa zaliczkowego we Lwowie, patron Związku wszystkich tego rodzaju stowarzyszeń w Galicyi i redaktor naczelnego organu tej finansowej ligi p. t. *Związek*. Jestto jeden z najtęższych finansistów galicyjskich — dowodem rozwój stowarzyszeń zaliczkowych — nominacya jego była jednak mimo to prawdziwą niespodzianką. Bo trzeba wiedzieć, że nikt ostrzej nie skrytykował finansowej polityki p. Wrotnowskiego, rej wiodącego dotychczas w Banku krajowym, jak dr. Zg. w *Reformie* i *Związku*. Krytyk wytknął zarazem nową drogę, wręcz odmienną od dotychczasowej, którą też w najwyższych naszych sferach autonomicznych przyjęto a autora projektu powołano do składu dyrekcyi. Już to dr. Zyblikiewicz lubi i umie urządzać niespodzianki!...

Rewera.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Hajota. **Poezye**, Warszawa.

Uskarżamy się na poetów starożytnych za nieubłaganą ich objektywność; gniewa nas, że Homer w czterdziestu ośmiu księgach swoich zaledwie w dwu wierszach odważył się odsłonić przed słuchaczem duszę własną i pogląd na rzeczy ludzkie. Na autorkę *Poezyj* żalić się pod tym względem nie możemy. Wyjąwszy parę obrazów powieściowych: „Dola grajka,“ „Dwie próby,“ „Trzy spotkania,“ „Spóźnione wołanie,“ „Piosenka ladajaka na nutę krakowiaka“— chociaż i tu z pod faktów mocno przebija tło indywidualne — poetka wszędzie mówi nam o sobie, o swoich ranach, złudzeniach, zwątpieniach itp. W pięknym wierszu „Młodemu poecie,“ wzywa młodzieńca, ażeby zerwał z przeszłością, przestąpił próg wspomnień, ażeby wsłuchał ucho w teraźniejszość, a nowych dróg szukał na niebie przyszłości. Smutnie, z goryczą odzywa się o przeszłości, a jest to jakaś gorycz specyalna, wysoce ujemna, szczególnie kiedy idzie o wspomnienie z dziejów serca. U Mickiewicza obraz Laury, odbity w wodach Niemna, młodzieniec mąci łzą niewinną — p. Hajota mąci go śliną ironii i, przyznać musimy, że tych ostatnich wydzielin jest tu nieco zanadto. Poetka nie może się z nich opędzić nawet tam, gdzie na struny nawiązuje się jej myśl uroczystsza („Z balowych scen,“ „Z dumań matrymonialnych,“ „Mój walc“). Takie więc utwory, jak np. „Polatach,“ „Jedyna rada,„ „Impromptu,“ „Trzy spotkania,“ uważamy za dowcipną prozę, której nie ocalą ani rymy, ani rytmy, ani przytoczony dla miłości *posagu*... głaz *sarkofagu*. Sama nawet forma rymotwórcza w tego rodzaju wierszykach kruszy się pod oschłością myśli; np.:

> Naprost niej stoł, o filar wsparty,
> Mężczyzna, *młody ilością lat.*

albo:

> Teraz wiosna... świat nadzieją
> I miłością *tchnie*
> Niechże nam się chociaż zdaje,
> Że kochamy *się.*

Od tych i tym podobnych błahostek zwracamy się do rzeczy poważniejszych. Na samym wstępie spotykamy obszerniejszą powiastkę p. t. „Dola grajka“ — obrazek to nadzwyczaj sympatyczny, czuć tam szmer wiosny sielskiej i całą wonność sielanki. Wszystko tu ujmuje za serce, wszystko — od „śpiewu Stacha,“ aż do strzaskania

---

waż jest panem woli. Nie jestem pańskim spowiednikiem, ale przyznaj, żeś nie był zmuszonym kupić sobie małej Eugenii, pójść z nią na kolacyę i prosić żony, aby jej pożyczyła swego szala na tę biesiadę. Cytuję panu tylko ten fakt, znany mnie jednemu z pańskich przyjaciół, pomijając inne bardzo kosztowne kaprysy z panią B... i panią G... Zastawiłeś pan na mnie pułapkę z pierwszą. Chciałeś się jej pozbyć i spodziewałeś się, że ci wyświadczę tę przysługę, podobnie jak z inną, lecz odkąd odgadłem pańskie zamiary, rozum mój, dzięki woli, pokonał namiętność, jakkolwiek osóbka ta była warta fatygi. Co prawda, mam odrazę do kobiet zamężnych, a co więcej, kochałem wówczas Zuzannę; ale wreszcie przypomnę panu ten fakt, znany tylko nam dwu, ponieważ może służyć za przykład *in anima vili*, ponieważ ta szalona, głupia namiętność, której, jak twierdzisz, nie *możesz*, w rzeczywistości zaś nie *chcesz* pokonać, kosztowała cię niemało trosk i włosów. Jesteśmy wszyscy mniej więcej kanaliami, i ja nie jestem świętym; ależ nie przypisujmy naszego *kanalstwa* woli bożej! W chwili, w której zabieramy się do ucałowania Hebe zakazanej, nie wznośmy oczu do nieba, wołając: „Niechaj stanie się twoja wola, o Panie!“

Heine nie mógł się powstrzymać od wybuchu śmiechu.

— Równie jak pan daję się pociągać złemu — dodałem — ale w niem nie grzęznę. Nie chcę tego. Zatrzymuję się, jak osioł nad brzegiem przepaści. Co prawda, nie jestem geniuszem.

— Patati, patata — odparł Heine. Udaje się — i tyle! Wola pańska nie gra żadnej roli. Udało ci się, że twoja metresa przeniewierzyła się tobie po dwu latach miłości. Co do mnie, nie miałem tego szczęścia. Nowy Prometeusz — przykuty jestem do skały cnoty. Sądzisz więc pan, że moja choroba — to kara, wymierzona przez Jehowę?

— Jestem tego pewien, nie ukradłeś jej pan.

— Dobrze więc, jeżeli kiedykolwiek spotkam Mojżesza, jego wynalazcę, powiem mu o mojem sposobie myślenia. Powiem mu: dobrześ uczynił, kazawszy zmasakrować trzy tysiące rewolucyonistów hebrajskich za zrobienie złotego cielca, ale powinieneś był zacząć od twego brata Aarona, tego Berryera pustyni, bardziej występnego, niż oni. Dobrześ zrobił także, podminowawszy grunt, po którym postępowali koreici, ażeby cię obalić, ciebie i twoją kamarylę despotyczną. Ale jakim prawem ustanowiłeś republikę w Palestynie, nie postawszy tam nawet nogą? Bałeś się. Nie chciałeś prawdopodobnie narazić się na wybryki demokracyi ciemnej i niesfornej! Ale coż zrobiłem twemu Jehowie, że mnie obarcza wszelkiemi cierpieniami Schoolu? Czyż go nie wysławiałem w *Gazecie Augsburskiej*? Dalej, poprawiając się, dodał: — Sądzę, że jakiś szatan spotwarzył mię przed tym Jehową. Taki byłem szczęśliwy, gdy Campo lub baron Cotta nadsyłali mi sześć tysięcy franków, jakkolwiek już one z góry były zjedzone. Ioto, aby mnie doświadczyć, rzucił mię na łoże jak Joba i jak Jobowi zabrał mi wszystko, prócz żony. Ale pewnego pięknego dnia, niezadługo, spodziewam się, zwróci mi wszystko, zdrowie, majątek i młodość!

— A wierzyłbyś pan wówczas w niego?

— Jak wierzę w Rotszylda, kiedy mi żyruje weksel. I jak Elihu u Joba, sławić go będę za stworzenie konia arabskiego!

Ale to tylko pierwsza faza życia Heinego—faza młodości! Drugie stadyum, przy którego tworzeniu się byłem obecny i do którego w pewnym stopniu się przyłożyłem, stadyum, które wywarło nawet wpływ na mnie, zmazując wszelkie błędy, wszystkie grzechy poety-szydercy, zaczęło się na trzy ostatnie lata przed jego śmiercią i uczyniło go wielkim męczennikiem, prawie świętym królestwa bożego na tym i na tamtym świecie!

Heine, widzieliśmy, zawsze był wielbicielem namiętnym Mojżesza. Odrzucając jego przepisy religijne, szydząc z Jehowy, geniusz jego jednak wcześnie się poznał na niezmierzonej wielkości uniwersalnego geniuszu Mojżesza, twórcy ludzkości po nad różnemi narodowościami barbarzyńskiemi, ojca cywilizacyi powszechnej, pierwszego prawodawcy, który ogłosił wolność narodów, mających ulegać jedynie prawu, twórcy równości, której nazwai pojęcie przed nim były nieznane żadnemu zlu-

skrzypek. Również poważniejszym nastrojem tchnie „Wieczór nad morskiem okiem,“ zwłaszcza tam, gdzie nie miesza się do niego niepotrzebnie pierwiastek teozoficzny. Pięknemi są także wiersze: „Do nocy,“ „Łza,“ chociaż w nich, jak i w innych tego rodzaju wynurzeniach, poetka nie po naszemu obchodzi się z *ujemnościami*.

Znaczną część zbioru stanowią przekłady: z Juliusza Miena, zasłużonego tłomacza arcydzieł naszej literatury, a przedewszystkiem Słowackiego; z Alfreda de Musset, W. Hugo, z Eug. Manuela oraz z Byrona. Ogółem w tym dziale pracy, autorce należy się wyraz uznania: nie zasłużyła tu na zastosowanie do niej krytycznej przypowieści włoskiej: „o! traduttori, o! traditori“ — nie zdradziła swoich pierwotworów. Zatrzymajmy się chwilkę nad przekładami z Byrona *Wiersz* 1-szy „Dury (The chain I gave)“ mówi o talizmanicznym łańcuchu i lutni, podarowanych kochance, która później nie dotrzymała wiary i łańcuch pod dotknięciem ręki współzawodnika pękł, a lutnia oniemiała. Przekład jest dosyć wierny co do myśli głównych, niekiedy jednak zmieniono rysunek pierwotny. I tak poeta mówi: „to serce, które ci ofiarowało jedno i drugie, było wiernem“ — w przekładzie czytamy: „*dałem ci serce*, kochające wiernie.“ Czwarta zwrotka w oryginale brzmi tak: „Niech ten, co z szyi twej odwiązał łańcuch, pękający w jego garści, niech ten, któremu lutnia ta odmówiła dźwięku — niech on nastroi napowrót struny, niech napowrót spoi ogniwka.“ U tłomaczki zaś czytamy, o tem samem wprawdzie, ale zupełnie co innego:

„Płocha dziewczyno! one cię wydały,
One dowodzą *to*, co byś skryć chciała,
Że obce palce na tej lutni grały,
Że łańcuch z szyi obca dłoń zerwała,“

Wiersz do M. S. G. — prawdziwa perła erotyki angielskiej — również utracił w przekładzie parę tonów głównych. Wynikło to zapewne stąd, że tłomaczka skrępowała się wybranym przez siebie, wbrew oryginałowi, krótszym rozmiarem wiersza, w którym, niepodobna jej było dorównać długim szeregom jednozgłoskowych słów angielskich. Przedewszystkiem więc pozbawiła nas całego uroku muzykalności wiersza, na jaką z pomiędzy naszych poetów tylko B. Zaleski zdobyć się umiał. Następnie piosence rzewnej, wyjątkowo wolnej jeszcze od melancholijnej ponurości szlachetnego pesymisty, niewłaściwie nadała nastrój dramatyczny. Oto np. słowa poety: „Jeżeli mi się przyśni, że mię kochasz, przebaczysz zapewne; nie dosięgajże gniewem aż snów moich, wszak życzliwość twoja we śnie tylko żyć może, wstaję ze snu i pozostaje mi jedynie płacz.“ Tłomaczka zaraz na początku scenizuje tę cichą modlitwę miłości:

„Śniłem, że kochasz. *Czemuż zapłoniona*
Rumieńcem gniewu *ranisz mię boleśnie*,
Wszak mi na jawie miłość twa wzbroniona,
Dozwól więc chociaż uwierzyć jej we śnie.“

Druga piosenka pod temiż cyframi „When'er I view“ w przekładzie przedstawia się zadowalniająco.

W. Z.

J. J. Baranowski. **Słownik polsko-angielski**, Warszawa.

Doczekaliśmy się nakoniec książki, zapełniającej ważną lukę w studyach języka angielskiego. Zawiłą robotę, dotyczącą prawidłowego wymawiania, którą dotąd nauczyciel i uczeń dręczyć się musieli przez nieustanne odwoływanie się do tablicy Wakera, autor sprowadził do najprostszej praktyki, a pod względem czasu skrócił ją przynajmniej o pół roku. Na czterdziestu stronicach wstępu podano tu główny zarys budowy języka angielskiego. Słownik zaś ułożony jest w trzech kolumnach, z których ostatnia przedstawia *przy każdym wyrazie* jego brzmienie polskie. Część leksykograficzną autor wyczerpał sumiennie braknie kilku wyrazów, wstęp piękny. Z całem przeświadczeniem o wartości tej książki zalecamy ją każdemu miłośnikowi nauki języka angielkiego.

Henryk Goldstein. **Wrażenia ciechocińskie**, Warszawa.

„Nie jak Kolumb w zamiarze odkrycia ziem nieznanych, ani jak awanturnik, szukający guzów i przygód nadzwyczajnych— uroczyście zapewnia nas p. Goldstein—wybrałem się do Ciechocinka...“ Zastrzeżenie, co najmniej chyba, zbyteczne, bo każdy wie przecie, że jeździ się tam zwykle dla złagodzenia pewnych dolegliwości, bądź to osobiście nabytych, bądź odziedziczonych. P. G. wyjechał „w celu zbadania nieznanego jeszcze zakątka kraju.“ To oświadczenie ważnem jest jeszcze z tego względu, że autor nie należy widocznie do tych podróżników, dla których wycieczka do Wilanowa jest ważnym wypadkiem, ale zwiedził przynajmniej Płock lub Lublin, a kto wie, może i Suwałki. Jego dziełko „jest płodem trzechmiesięcznych badań (!), uwag i spostrzeżeń w systematyczną ugrupowanych całość i opartych na osobistych wyłącznie wrażeniach, na indywidualnych jedynie uczuciach“ i ma dostarczyć czytelnikom „lekkiej, ale pożywnej i smacznej dla umysłu i serca ich strawy.“

Sprobujmyż i my tej potrawki.

Stosując kulinarne porównanie autora, utwór jego przedstawia się nam jako *vinaigrette*, z najdziwaczniej pomieszanych złożony przypraw i suto omaszczony licznemi cytatami wierszem i prozą. Jaka to szkoda, że kuracya ciechocińska tak radykalnie usuwająca cięższe słabości, nie wyleczyła p. Goldsteina od chorobliwej widocznie słabostki przytaczania bez potrzeby zdań przeróżnych autorów. Sposób jego pisania jest następujący: Słońce zaszło. Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* opisuje to zjawisko (tu idzie odpowiedni ustęp). Wieczór był cichy, jak powiada Syrokomla (znów cytata). Krowy i owce wracały z pastwiska, co ślicznie maluje w swej elegii Grey itd. Cycero następuje po Deotymie, Wirgiliusz po Górnickim, sumienny autor nie przepuszcza żadnego ze znanych sobie pisarzów. Wypisy te stanowią trzecią część książki, reszta składa się z tak głębokich spostrzeżeń, jak np. że „mieszkania są droższe lub tańsze,“ że „panująca w nich absolutnie wilgoć, przy najzbawienniejszych skutkach leczenia osłabia je;“ z tak oryginalnych uwag, że szkoły są pożyteczniejsze niż teatr itd. Badania p. Goldsteina są jeszcze ciekawsze. Wykrył on np., że pomiędzy okoliczną ludnością najurodziwsze są dzieci *spłodzone* w Ciechocinku. Dla nauki byłoby bardzo pożądaną rzeczą bliższe określenie sposobów skonstatowania tego faktu. Mówi autor o braku narzędzi pożarnych i zaraz przytacza ustęp z Modrzewskiego, mówi o latarniach—cytuje K. W. Wójcickiego. Szczególnymi jego względami cieszy cię Deotyma, ale nie pominął i *Skarbczyka* p. Ilnic-

---

dów na ziemi, pierwszego wreszcie, który zrozumiał i dał innym do zrozumienia solidarność wszech istot, ludzi, zwierząt i rzeczy! Zaprzeczał jedynie długo sprawiedliwości Mojżesza, która dosięga na ziemi czwartego pokolenia w razie trwania w złem, sprawiedliwości, która jest prawem natury.

Od Biblii odwróciło go objawienie osobiste, wszystkie te opowieści bajecznie legendarne o cudach bożych, które w *Pięcioksięgu* są tak związane i splątane z prawami Mojżesza, że o ile je odrzucamy i poddajemy logice rozumu, cała budowa się wali, pomimo wszelkich podpór, jakiemi rabini wszystkich epok ją podtrzymywali, podpopór, które jeszcze silniej zgniły niż sama, chyląca się do upadku budowa.

W miarę wszakże, jak wzmagały się jego cierpienia osobiste bez nadziei powrotu do zdrowia; w miarę jak, będąc jeszcze młodym, widział rozwiewanie się wszelkich złudzeń cielesnych i ziemskich na podobieństwo cieni; w miarę jak mógł skupiać się w sobie i zdawać sobie szczerze sprawę z krótkiego swego życia i walk bezpłodnych, przyjemności efemerycznych i zaprawionych żółcią; w miarę jak, słowem, znajdował się twarz w twarz z samym sobą, ze swoją przeszłością i teraźniejszością, przyjął męczeństwo, nie przyznając się zresztą do tego, gdyż byłoby to zbyt gwałtownem wyparciem się dzieł swoich, jako karę Boga, i nie modląc się podniósł oczy ku Stwórcy, wołając z Dawidem: „Jakżeś sprawiedliwy, o mój Boże, i jakże wielkie i cudowne są twoje dzieła!“

Kiedy, odczytując Biblię jako dzieło ludzkie, ku wielkiej mej niespodziance i zadowoleniu odkryłem, że wszystkie te opowieści cudowne *Pięcioksięgu* dzisiejszego, że wszystkie jego cuda, cały aparat nadprzyrodzony tej księgi są tworem Ezry, który, jak się o tem można przekonać z ksiąg *Ezry i Nehemiasza*, stworzył zupełnie nową religię, nadprzyrodzoną i teokratyczną drugiej świątyni, z której później wyłonił się chrystyanizm; Ezry, który stworzył sądny dzień, którego nawet śladu nie umiemy odnaleźć na pierwszej świątyni, na podobieństwo święta perskiego, z kozłem ofiarnym, obarczonym grzechami Izraela posłanym Bogu Assaselowi; Ezry, wreszcie, który zmienił erę Mojżesza, rozpoczynającego nowy rok od miesiąca *Nissana*, rocznicy zniesienia niewoli i przeniósł go na dzień wzniesienia drugiej świątyni w miesiącu *Tyszry*; kiedy powtarzam, zakomunikowałem mu moje odkrycie, wówczas jeszcze nie poparte, jak dziś, tekstem niezaprzeczonym. Heine doznał ulgi sumienia i zupełnie się pojednał z Mojżeszem i jego filozofią jehowistyczną.

W tym właśnie czasie, jego żona poróżniła mię z nim, ja zaś, wskutek choroby mojej, zmuszony byłem zawiesić me badania i poszukiwania, do których zdołałem powrócić dopiero po śmierci Heinego.

Lecz artykuły, które Heine pod koniec swego życia ogłosił w *Revue des Deux Mondes* dostatecznie dowodzą, że umarł jako deista, i to *deista* przekonany zarówno przez rozum, jak i uczucie.

I artykuły niemieckie, które ogłosił pod koniec swego życia, zwłaszcza o Mojżeszu, które znajdziemy dalej, przekonywają najdowodniej, że umarł mozaistą — nazwijmy rzecz po imieniu — żydem, jednym z największych synów Izraela.

W jednym ze swych utworów powiedział: „nad mym grobem nie odprawią mszy, ani nie zmówią *kadyszu*“ *). Można było z dumą odmówić kadysz nad jego mogiłą. Piewca Mojżesza, Rabi Jehudy Halewy'ego zmarł, sławiąc Boga i jego sprawiedliwość. Jeżeli niemcy mogą windykować go dla siebie jako jednego ze swych największych poetów lirycznych, mozaizm może go z dumą zaliczać w poczet najsławniejszych swych gloryfikatorów.

Czas już wszakże przejść do życia duchowego i materyalnego poety. Odnosi się ono do epoki dawno już minionej, której obyczaje się przetworzyły nie jak gąsienica w motyla, lecz jak motyl — w glistę. Pełzamy, po wysokościach wprawdzie, ale pełzamy! Któż nas obierze z gąsienic? *That is the question!*

(D. c. n.)

*) Modlitwa za umarłych żydów.

kiej, nie darował i nieboszczce Puzyninie; ba, nawet przywodzi całe ustępy z własnych swoich listów.

Moralne pojęcia p. Goldsteina są bardzo jeszcze niezdecydowane. Usprawiedliwia on np. wyzyskiwanie przyjezdnych przez mieszkańców, bo „trzeba działać zgodnie z postępem i duchem czasu, a obecna trudna i mozolna walka o byt tłomaczy i usprawiedliwia wiele objawów i stron ujemnych, które niegdyś nie zasługiwały na potępienie.“ Nie należy jednak z tego wyciągać niekorzystnych wniosków, bo autor stara się sumiennie wyrobić sobie pewne zasady etyczne; wahał się np. długo, jak powiada, czy sprzedaż po 10 kop. za sztukę siedmiokopiejkowych marek jest występkiem i po dojrzałym namyśle doszedł do przekonania, że to jest kradzież grosza publicznego.

Przerzuciwszy rozwlekłą gadaninę o teatrze, o miejscowej ludności, o tem i o owem dochodzimy do stronicy 60-ej. Tu zdaje się, że p. Goldstein chce skończyć opis wrażeń, ale na nieszczęście przypomina sobie słowa Syrokomli: „lecz może mi zarzucą, żem skończył zbyt skoro“—i ciągnie dalej. Ciechocinek nie daje mu już materyału, spieszy więc do pobliskiego Raciążka, zwiedza stary zamek i „rycerskie mogiły,“ boleje nad ich opuszczeniem i wyrzuca surowo ogółowi, że pamiątek po *ojcach*(!)nie pielęgnuje troskliwie i nie czci...

Z obawy, żeby go nie posądzono o obojętność względem ludzi podeszłych wiekiem i znajomych, uzupełnia autor swe wrażenia wzmianką o najbliższem sąsiedztwie. Po odpowiedniej porcyi cytat, następują szczegóły, wtajemniczające nas w osobiste sprawy p. Goldsteina. Sąsiedztwo miał przyjemne, chociaż znalazł się wyjątek, ale pociesza go przysłowie, „że jedna jaskółka wiosny nie czyni.“ Szczególniej podobały mu się przedstawicielki płci pięknej, o czem nie wątpiliśmy bynajmniej z uwagi na niejednokrotnie zaznaczony młody wiek autora. Nawet dzieci sprawowały się jak należy, nawet służba „zachowywała się przyzwoicie i bez żadnej zgoła nagany.“

Po słowach uznania, poświęconych jakiejś przyszłej artystce i zapewnieniach wdzięczności dla jakiegoś czcigodnego starca, który autora w Ciechocinku odwiedził, następuje osobiste zwierzenie się jego, że dotknięty jest on — *chorobą Pługa*. Poprzednio już p. Goldstein wspominał o tem nawiasem i, rozumie się, cytował odpowiednie ustępy z poezyj redaktora *Kłosów*.

Zmuszeni byliśmy pominąć wiele pereł twórczości młodego autora, bo w nadesłanym nam egzemplarzu brakuje 3-go arkusza, natomiast 2-gi jest aż w dwóch okazach; spodziewamy się jednak, że i te, które wyłowiliśmy, dla scharakteryzowania jej wystarczą.

Praca ta przeznaczoną była dla *Wędrowca*, ale redakcya nie wydrukowała jej, za co, powiedziawszy nawiasem, możemy ją tylko pochwalić.

Gwiazda, kalendarz petersburski na rok 1884 pod redakcyą Henryka Glińskiego.

Wydawnictwo to wychodzi już czwarty rok przy niezbyt pomyślnych dla kierującego niem warunkach. Trudność w zdobywaniu artykułów i informacyj koniecznie należy mieć przy sądzeniu go na uwadze. Pomimo to część literacka przedstawia się bardzo dobrze, daleko lepiej nawet, niż w warszawskich kalendarzach. Złożyły się na nią utwory Kraszewskiego, Orzeszkowej, Löwenfelda, S. Ptaszyckiego i innych. Poezyę prawie wyłącznie reprezentuje W. Wysocki. Najwięcej jednak utworów wyszło z pod pióra samego redaktora: dał on wierszowany fragment dramatyczny, obrazek powieściowy p. t. *Lili*, notatkę o teatrze polskim w Petersburgu, wreszcie życiorysy Szujskiego, Orzeszkowej i Turgeniewa.

Praca o Orzeszkowej ma szerszy nieco zakres, niż inne; wspomnienie pośmiertne o Turgeniewie w znacznej części poświęcone wyświetlenin przyczyny kwasów i osobistych niechęci nurtujących kolonię polską w Petersburgu, których pozbyć się nie umiano, czy nie chciano nawet w uroczystej chwili oddania pamięci wielkiego pisarza hołdu w imieniu polaków. Kraszewski dał obrazek p. t. *Na scenie*, Orzeszkowa przeróbkę poprzednio drukowanego artykułu *O cnotach prostych*, p. Ptaszycki ciekawą notatkę o bibliotekach i archiwach petersburskich, p. Librowicz urywki niewydanych listów Z. Kaczkowskiego, charakteryzujące zapatrywanie jego na znaczenie powieści historycznej, wreszcie młody dramaturg p. S. Rzewuski zajmującą wzmiankę o komedyi realistycznej w Rosyi a właściwie o najnowszym utworze Boborykina p. t. *Stare rachunki* i szkic przedstawiający obecny stan literatury dramatycznej francuskiej.

Najlepiej wszelako przedstawia się poezya. *Sen szlachcica wołyńskiego* p. Wł. Wysockiego jest wyborną humoreską, niepozbawioną wszakże satyrycznego zacięcia. Nastrój ten widoczniej jeszcze uwydatnia się w *Zuzannie*, tu już humor ustępuje miejsca gryzącej ironii, piętnującej oschłą bigoteryę i bezmyślne wychowanie większości naszych kobiet, w trzecim wreszcie utworze tegoż autora p. t. *Z chwili upadku* krwawa, bolesna satyra przechodzi miejscami w podniosły patos. Fragment ten nosi na sobie cechy młodzieńczego tworzenia, pełno w nim wad i usterek, ale wykupuje je z lichwą szczere, szlachetne uczucie. Przedstawia on jeden z epizodów, malujących chwilę upadku rzeczypospolitej, nie jakiś fakt historyczny, ale niemniej tragiczną scenę wzajemnego stosunku pana i księdza do chłopów. Nie w tem spoczywa jednak wartość utworu, ale w refleksych autora, włożonych w usta jednej z działających osób.

Oto tłumy tych, co ja podźwigną,
Stanęły we dwa chóry, po obie jej strony,
Po jednej orszak świetny, możny, najedzony,
Ale szczupła, nieliczna gromadka
Łamie ręce i woła: oto nasza matka!
A po drugiej helotów bladych miliony,
Świecących chudem ciałem z pod łachmanów [trecha,
Mówią: to nasza macocha!..

Pierwsi wyczerpawszy ostatki sił, z rozpaczą opuścili ręce

I wołają: o Boże! gdzie ty jesteś Boże
I wołają: o Panie, gdzież twe zmiłowanie,
Kto nam matkę podźwignąć naszą dopomoże
I gdzie zbawienia anioł nasz z twarzą różaną?
Nad Sekwaną, krzyknęli jedni, nad Sekwaną!
W Watykanie, krzyknęli drudzy, w Watykanie!
O! nie tam odrodzenie—kończy autor — nie tam ju- [trznia wschodu
I nie w waszych jałowych piersiach dla narodu
Będzie poczęcie *jutra*. Patrzcie, ot ta szuja,
Ten tłum Hioba synów, wzgardzonych nędzarzy
W nich to jutrznię przyszłości Bóg świetną roz- [żarzy
I ich to pierś nie wasza—krzyknie: alleluja!

Poezya taka — to prawie publicystyka, ale my przynajmniej wolimy ją, niż estetyczne zachwyty nad listkiem róży lub śpiewem słowika. Wypisane ustępy słabe dają pojęcie o wartości utworu—dlatego należy go całkowicie przeczytać.

Część informacyjna przedstawia się słabiej, ale i tu główna wina nie cięży na redaktorze. Pomieszcza on bezpłatnie adresy polaków lekarzy, adwokatów a nawet firm handlowych w Petersburgu, ale nikt prawie ich nie nadsyła. Na przyszłość wartoby w dziale informacyjnym uwzględnić także Warszawę, bo przecież większość czytelników *Gwiazdy* ma również i z nami stosunki a dokładne wskazówki przydałyby się im nieraz.

Wiat.

LIBERUM VETO.

Dziwny trud. — Co bym robił, posiadając własność wypowiadania złotych myśli.—P. Gnatowski jako świetny krytyk. — Czemu nie piszę najlepszych rozpraw krytycznych.—Wygodne złudzenia literackie i ekonomiczne. — Konieczna rubryka w rozchodzie. — Nowa kwestya i nowy stan — piąty. — Malejący postęp moralności. — Dybowski. — Wpływ karnawału na ilość niedoręczonych depesz. — Potrzeba biura pośredniczącego.

Dziwi mnie bardzo, ile razy autorowie mający patent na wypowiadanie „złotych słów i myśli“ oraz własność dowodzenia zawsze „z nieubłaganą logiką,“ trudzą się nad pisaniem artykułów z jakimkolwiek sensem. Co do mnie, gdybym raz pozyskał taką moc wzruszania moich słuchaczów, usiadłbym zaraz do stolika i rozmawiając z przyjaciołmi o pannie Herman lub uwięzionym za obicie lwowskiego tenora p. Fryllingu, bazgrałbym sobie bezmyślnie:

„Ziemianom naszym potrzeba taniego kredytu, jak drozdom pereł. Jeśli ta bestyjka Luca nie przyjedzie śpiewać do Warszawy, to Czytelnia akademicka w Krakowie musi na rok przyszły powierzyć prezesowstwo blondynowi. Ciekawy jestem, czy premium *Gazety rolniczej* będzie czarne, czy też czerwone albo łaciaste, bo od tego przecie zależy wybór miejsca dla gmachu Towarzystwa Zachęty Szt. Piękn. itd.“

I ręczę, że stali wielbiciele moi, przeczytawszy te majaczenia, odezwaliby się zaraz w swych pismach:

„Znowu znakomity nasz publicysta wypowiedział szereg głębokich uwag o zastosowaniu sztuki w gospodarstwie rolnem.“

W grudniowym zeszycie *Biblioteki warszawskiej* p. J. Gnatowski rozpisał się o poezyach p. Konopnickiej, nawiązawszy na nię swego żalu tyle prawowiernych komunałów, ile ona ich tylko zmieścić mogła. Artykuł jego był zjawiskiem zwykłem, niezdolnem ani przekonać, ani oburzyć, ani zachwycić nikogo. Nagle czytam w jednym dzienniku, że p. Gnatowski jest „świetnym krytykiem,“ jego „logika nieubłaganą,“ „słowa i myśli złote,“ artykuł zaś cały „jedną z najlepszych rozpraw krytycznych w bieżącej literaturze naszej.“ Człowieku— rzekłem do siebie—na miłość boską, czemu ty nie jesteś „świetnym krytykiem,“ czemu nie wypowiadasz „złotych słów i myśli,“ czemu nie piszesz artykułów, któreby należały do „najlepszych rozpraw w bieżącej literaturze naszej“—kiedy to wszystko uczynić mógłbyś, gdybyś tylko chciał? Ja sam nie wiem czemu, dość że pomimo wyraźnie uczuwanych sił do płodzenia tej miary arcydzieł, żadnego jeszcze nie spłodziłem. Wierzcie mi, że to nie przechwałka. Gdy czytam rozprawy Taine'a, Brandesa, Bielińskiego, Spasowicza, Chmielowskiego, wyznaję przed sobą: na to lub owo nie zdobyłbym się; ale gdy przeglądam t. z. „złote słowa i myśli“ wielu naszych „świetnych krytyków,“ wyrzucam sobie i innym karygodną obojętność na własną sławę. Bo dlaczego np. p. J. W. Dawid, zamiast pisać powierzchowne artykuły psychologiczne w *Prawdzie*, nie dowodzi „z nieubłaganą logiką“ szkodliwości Konopnickiej w *Wieku* — tego nie pojmuję. Podobnież nie rozumiem p. W. Smoleńskiego, że zamiast płytko orać niwę historyczną, nie „zapuszcza się głęboko w otchłanie duszy ludzkiej“ — na scenie. Też same wyrzuty mógłbym uczynić innym kolegom, z których każdy jest niewątpliwie zdolnym do wydobywania ze swej głowy „złotych słów i myśli,“ a wydobywa ubogą w kruszec rudę. I rzecz dziwna—owi poszukiwacze drogiego kruszcu od czasu do czasu narzekają, że u nas niema krytyki, sądów gruntownych, od reklamy niezależnych. A to na co? Chcemy siać pozytywizm, bezbożność, słowem—rewolu-

cyę? Skoro ogółowi ztem bardzo wygodnie, że Konopnicka jest umysłem „skrzywionym“ a J. Gnatowski „krytykiem świetnym,“ że p. B. Prus cieszy się sławą „socyologa“ a p. H. Sienkienkiewicz posiada dyplom „najznakomitszego powieściopisarza polskiego“ — po co od tych wyroków apelować? Czy wobec powszechnego z nich zadowolenia godzi się mącić spokój publiczny dowodzeniem, że nasz krytyczny Prokrustes wyciąga na swem łożu p. Sienkiewicza a obcina p. Prusa, który będąc najlepszym śród młodych talentów powieściopisarzem u nas, używa sławy wesołego bawiciela ludu, znawcy sposobów dezinfekcyonowania ulic i ekonomii społecznej. Rozkoszne złudzenia!—a któżby się ich kiedykolwiek dobrowolnie pozbył!

Coby powiedzieli posiadacze „własności większej,“ gdybyśmy do nich rzekli: „panowie jesteście w błędzie, mianując się dziedzicami swych majątków, gdyż one w znacznej części nie do was należą.“ Socyalista!—krzyknęliby i zdali raport *Niwie* z prośbą o przedsięwzięcie odpowiednich środków. A jednakże długi owych majątków wynoszą więcej, niż połowę ich wartości, poręczająca zatem je ziemia należy przeważnie do kapitalistów. Ale skoro złudzenie ekonomiczne istnieje, a nawet pozwala hodować poprawnej rasy konie i zasiadać w Towarzystwie Kredytowem ziemskiem — po co je rozpraszać? Nie myśl zresztą, czytelniku, że i ty wolnym jesteś od iluzyj! Wyobrażasz sobie zapewne, że pieniądze, które zapracowałeś, odzież i sprzęty, które nabyłeś, są twoje. Nieprawda. Należą one co najmniej w połowie do złodzieja, który cię obrabuje na ulicy, w tramwaju, w wagonie lub w mieszkaniu. Nastały takie czasy, że człowiek, który w rozchodzie swoim nie pomieszcza rubryki: „kradzieże“, jest wprost naiwnym. Co rano, wstając z łóżka, dziwię się, że oglądam moje szafy, krzesła, stoły, ubranie. Wy jeszcze tu? pytam zdumiony, a one zdają się odpowiadać: maluczko, maluczko, a nie ujrzysz nas! I wierzę temu. Chociażby konieczność była najokrutniejszą, trzeba jej się poddać. Trzeba dla złodziejów drukować: 100 egzemplarzy pisma nad liczbę prenumeratorów, kupować skomplikowane zatrzaski, rewolwery i kije z toporkami, na letnich mieszkaniach utrzymywać nocnych stróżów itp. Gdy wszystko to zsumujemy wypadnie nam, że rzezimieszek kosztuje każdego z nas więcej, niż bułki lub koncerty. Hugo Szenk, słynny morderca kucharek wiedeńskich, grał przed niemi rolę „hr. Wielopolskiego, dyrektora kolei warszawskiej.“ Czyżby ten łotr wiedział, że Warszawa stała się klasycznem miastem złodziei? Proszę odczytać kronikę codzienną: tu ukradli bramę, tam pierścionki, w Muzeum pszczelniczem powiesili stróża, który ich spłoszył, w policyi znowu chcieli zabić inkwirenta itd. Ile razy pewien gatunek ludzi i ich czynów znacznie się rozmnoży, powstaje „kwestya społeczna,“ nad którą socyologowie myśleć muszą. Jak więc długi, ciążące na majątkach ziemskich, wytworzyły już kwestyę kredytu rolnego, tak samo kiedyś będziemy się zastanawiali nad sprawą złodziejską, nad tym osobnym u nas „stanem — piątym.“ A chociażby nawet stan ten nie wybierał kiedyś deputatów, nie zakładał Izb syndykalnych i stowarzyszeń, występuje już dziś jako żywioł odrębny i groźny. Groźny nie materyalnie, ale moralnie. Byłoby mi bardzo przykrem, gdyby czytelnicy moi brali za żart wszystko, co o tym przedmiocie mówię. Na przekór bowiem bezmyślnym przechwałkom, wykluwającym naszemi cnotami oczy zagranicy, jestem głęboko przekonany, że w moralności spadamy zatrważająco. Gdy nie widzę jakiegoś podręcznika w naszej literaturze, jakiejś pracowni w nauce, jakiejś instytucyi w naszem życiu społecznem — smutno mi, ale stokroć smutniej, gdy dostrzegam pręgi zgnilizny, rozpościerające się po organizmie narodu. I nie zasłaniajmy się wymówką, że to wina niedozoru straży bezpieczeństwa publicznego; przecież policya rzezimieszków łowi; ale to nie pomaga, bo w własnem naszem łonie lęże się rak.

Ach, czyż to rozpamiętywania właściwe na karnawałową porę! Mówmy o czem innem.

Przebywa chwilowo w mieście naszem znakomity przyrodnik i podróżnik po Syberyi Dybowski, który jedzie do Lwowa na katedrę zoologii. Galicya rzadko z po za swych kopców sprowadza uczonych, tem większe należy się jej uznanie za ściągnięcie Dybowskiego, który po tylu latach mozolnej tułaczki bogate zebrane w niej materyały przetapiać będzie jako profesor na prawdy naukowe.

Romantyzmem, pełnem przygód było życie naszego badacza, ale i on niema prawa do zwrócenia na siebie szerszej uwagi, poświęconej... karnawałowi. Teraz wszyscy tańczą odurzeni. Mam pewne powody przypuszczać, że nawet woźni telegrafu bawią się lepiej, niż zwykle. Inaczej bowiem skądżebyśmy mieli tak długie wykazy w *Kuryerach* depesz, niedoręczonych skutkiem „niedokładnego adresu.“ Między nieodnalezionymi spotkać można np.: Stanisław Kronenberg, Bekker, składnik broni itp., a jestem pewien, że gdyby w Warszawie mieszkał ks. Bismark, nie otrzymałby telegramu pod własnem jedynie nazwiskiem. Ale to tylko w karnawale. Bo trudno przypuścić, ażeby nikt w biurze telegraficznem nie znał adresu bodaj firmy Kronenberga. Nie rozpaczajmy — jeszcze kilka tygodni zapust i w marcu znowu wykaz depesz niedoręczonych zmniejszy się. Ach, ci niemcy! Tam się posyła list bez wskazania ulicy do zupełnie nieznanego człowieka, cudzoziemca, w wielkiem mieście i poczta go wynajduje; u nas telegramy nie dochodzą do najpierwszych domów handlowych.

Jeśli kiedy zmiłuje się nad nami jakiś sprytny francuz lub anglik i założy w Warszawie osobne biuro dla doręczania za skromną opłatą depesz bez adresu, naprzód będzie dobrodziejem naszym a powtóre swoim.

Tymczasem niech woźni telegrafu się bawią.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Chłopska sukmana i suknia szlachecka. — Niedbalstwo obywateli Płocka. — Przekształcenie dyletantów na zdolnych specyalistów. — Zmartwychwstanie sprawy szkółek gminnych. — Niefortunny obrońca ziemian.

Iście ludożercze dążności ujawniły się niedawno w wykrzykniku pewnej grupy ziemian, obradujących nad przyszłą wystawą rolniczą w Mińsku. Wniosek jednego z uczestników o przypuszczeniu chłopów do udziału w wystawie grupa owa przyjęła oburzeniem z powodu, iż szaty szlacheckiej chłopska sukmana kalać nie powinna. Szczęściem średniowieczne pojęcia nie w każdej z głów obrały sobie siedlisko i wnioskodawca zwyciężył.

Do owej grupy słów kilka. Jakiej to tradycyi hołdujecie panowie? W myśli mej przesuwają się cienie Kościuszków, Staszyców, Kołłątajów. Pytano ich, czy takimi was karmili wzorami, ale ci męże odsyłają mię dalej. Myśmy tradycyą nie stali— mówią oni — temu, co umierało, nie przeszkadzaliśmy skonać. Myśmy życie nowe i nowe pojęcia do głów i serc bratnich wlać chcieli — przeszkodziły nam widma starostów Kaniowskich, Pszonków i Toporczyków...

Jeżeli korespondent *Gazety Polskiej* wiernie przebieg nowych obrad opisał, to każcie też, panowie, parobkom, pracującym na niwie waszej odrębności kastowej, aby pleśń tę starli, a nadewszystko nie miejcież odwagi mówić o patryotyzmie tym, którzy pochlebiać wam nigdy nie będą.

Chociaż za zjadanie majonezów i świeżej baraniny nikomu pomnika bym nie postawił, to jednak niedbalstwa o własne zdrowie za cnotę uważać nie mogę. Dla tego też zapytam sławetnych obywateli Płocka: czy utworzenie komitetu sanitarnego— na wzór Łomży — tak dalece przechodzi zakres ich społecznych instynktów, że się na instytucyę powyższą zdobyć nie mogli? Jeżeli Icek albo Lejba sprzeda komuś kawałek zepsutej cielęciny, nie omieszkamy zaraz palnąć mówki o upadku moralności i wiary naszych ojców, nie zaniedbamy napiętnować zdrady postępowców; ale dopilnować własnego zdrowia nie chcemy, zapewne dlatego, że żydowski chałat sukmany chrześciańskiej kalać nie powinien.

Zmysłu organizacyjnego odmówić napewno nie można naszym złodziejom. Zdyletantów słabo uzdolnionych stali się oni teraz członkami sprężyście działających stowarzyszeń. I wsie i miasta prowincyonalne przysyłają co chwila do Warszawy pełne lamentów sprawozdania o „operacyach dokonywanych w celach rabunku.“ Doprawdy, gdyby nie gładkie słownictwo naszych gazet, możnaby było pomyśleć, że żyjemy śród ludzi i czasów barbarzyńskich. W ubiegłym tygodniu szczególniejszą uwagę pod powyższym względem zwróciły na siebie skargi Wielunia i Skierniewic.

W kilku naraz gazetach powstała z martwych sprawa zakładania szkółek *gminnych*. Od wiejskich różnią się one tem, że na utrzymanie ich nietylko mieszkańcy wioski, ale i całej gminy — a więc i posiadacze większej własności się składają. Świętobliwe oburzenie prasy wywołała jak na teraz odegrzana propozycya kilku obywateli niektórych gmin, aby składki na szkoły płacono *od morga*. Jakto — wołają gazety — więc „obywatel“ nie korzystając ze szkółki, miałby płacić najwięcej? Cytowany wyżej korespondent *Wieku* głośnicj od innych niezadowolenie swoje wyraził.

O co właściwie idzie, czy o sprawiedliwość? Ależ w takim razie i składka *z dymu* nie jest ideałem słuszności. Zdarzyć się bowiem może, iż Wojtek, niemający błogosławieństwa bożego, zapłaci tyle, co Bartek, posiadający pięciu lub sześciu przedstawicieli swego rodu...

To, że „obywatel“ ze szkółki nie korzysta, nie może być dla niego wymówką. Korzystać nikt mu nie broni, że zaś dobry Bóg daje mu możność sprowadzania szwajcarek i anglików do dzieci, to stąd nie wynika, aby i obowiązki jego względem gminy nie miały być w stosunku prostym do jego majątku. Większa składka dałaby lepszych nauczycieli i usprawiedliwiła choć w części nierówność majątkową.

Ktokolwiek przemawiać tu będzie na korzyść większych posiadaczy, powinni postarać się oni, aby obrońcą ich nie był korespondent *Wieku*. Oto jest końcowy ustęp jego filipiki. „Dopóki właściciel tysiąca morgów ziemi na zebraniu będzie miał także jeden głos tylko, jak każdy trzechmorgowy osadnik, dopóty zebrania gminne nie rozsądnego uchwalić nie potrafią.“

Jak to? Więc kupony, jakieby korespondent chciał odcinać dla „obywateli“ od ich kapitału — mają mieć tylko formę przywileju a nigdy obowiązku? Przecie wnie jeżeli z faktem odwiecznej nierówności majątkowej pogodzić się można, to tylko zrównoważenie praw jej z obowiązkami drogę do zgody takiej utoruje.

Maryan Bohusz.

P. S. Zbyt wczesne oddanie do druku przeszłego fejletonu i kilkudniowa nieobe-

cność moja w mieście sprawiły, iż czytelnicy *Prawdy* tylko z *Liberum veto* dowiedzieli się o brutalnem przeciwko mnie wystąpieniu *Niwy*. Odpowiem jej wtedy, gdy wymysły ustąpią tam miejsca poważnym zarzutom.

Z komedyi sielanka.—Ugaszczanie chłopów. — Miłość ludu, czy serwituty. — Oszustwo w Łomżyńskiem.— Praktyka niesłowności i sędziowie siedzący w domu.— Nowe koleje.—Towarzystwo rybackie.

Komedya braterstwa dworu z chatą zaczyna przybierać u nas postać sielanki. Do tego rodzaju niewątpliwie należy obrazek, skreślony w *Kur. Warszawskim*. Gdzieś (nie podano) nad Narwią młody obywatel ziemski w wigilię Boż. Narodz. obszedł wszystkie chaty swej wioski i zaprosił włościan do siebie na wieczerzę. Rozłamawszy z nimi opłatek a ze starszymi napiwszy się wódki, zasiadł wspólnie do stołu, przy którym spożyto dziewięć tradycyjnych potraw. Lecz—nie dosyć tego. Po kolacyi otworzono drzwi sąsiedniego pokoju a dzieci chłopskie wydały okrzyk, ujrzawszy wspaniałą i gorejącą choinkę. Korespondencya, która szerzej kreśli ten ujmujący obrazek, zaczyna się tak: „P. J. objąwszy majątek, w którym *serwituty uregulowanymi dotąd nie były*, potrafił przedewszystkiem całem postępowaniem z ludem miejscowym zjednać sobie opinię „dobrego pana" i zyskać sympatyę własnych a nawet okolicznych włościan." Przy końcu zaś autor powiada: „Żegnając swych gości, p. J. zaproponował im, że jeśli chcą *uregulować służebności*, to niech wybiorą z pomiędzy siebie kilku najzaufańszych pełnomocników, a on gotów się zgodzić na wszelkie warunki." Naturalnie służebności uregulowano.

Kuryer tak jest zachwycony tym „wzorem dla dziedziców i włościan," którego daremnie szukała konkursem *Biblioteka Warszawska*, że obiecuje kiedyś odkryć skromnością osłonięte nazwisko bohatera. Co do nas, to nie ubliżając p. J., który może być najzacniejszym człowiekiem, złożylibyśmy ręce do oklasku tylko wtedy, gdyby nas korespondent zapewnił, że ów młody obywatel będzie zapraszał włościan na wieczerzę wigilijną, ich żonom dawał w podarku „garnitury stołowe i kuchenne" a dzieciom urządzał choinki — *po* zniesieniu serwitutów. Wtedy byłaby to z jego strony bezinteresowna miłość, w opisanym zaś wypadku — tylko interesowane zaloty, które nie mieszczą w sobie nic zdrożnego, ale na apoteozę nie zasługują. Żyd, kupiwszy majątek nieodseparowany, wyprawia chłopom ucztę, spaja ich, skłania do ustępstw i — w prasie dostaje chłostę. A czyż on robi coś gorszego, niż „wzór dla dziedziców i włościan" — *jeżeli* ten również umizga się do chłopów dla własnego dobra?

Toż samo pismo z tejże okolicy (gub. łomżyńskiej) donosi o fakcie innym. G. F. wypuścił swój folwark w dzierżawę p. P. na lat 10 za 600 rs. rocznie. Zamiast kaucyi p. P. złożył czynsz pięcioletni, ale po zawarciu kontraktu dowiedział się, że szan. dziedzic sprzedał majątek i zemknął tam, gdzie pieprz rośnie lub Rembertowski siedzi (Nb. ten ostatni spobożniał i zapisał się do „Armii zbawienia" w Lozannie). Ziemianie nasi okazywali liczne wady, ale oszustwo było śród nich występkiem rzadkim. Uważalibyśmy to za smutny objaw, gdyby fakty podobne nie należały do wyjątkowych.

Zwykle wszakże nieradosne wieści nadbiegają z tej sfery. A nie są to złośliwe wymysły lub posądzenia antiszlacheckie, ale skargi ruchliwszych współbraci. Oto p. J. (z Podlasia) wykazuje w *Korespondencie płockim* szkodliwe zwyczaje w stosunkach dworu do czeladzi. Ponieważ obie strony nie szanują swych umów, więc pracodawcy godzą zwykle przed n. rokiem więcej ludzi, niż potrzebują, ażeby zapobiedz niedostatkowi służby. Naturalnie, gdy zgodzeni stawią się, trzeba ich odprawić. „Zapytacie może — dodaje korespondent — a jakież tam sądy? *Takuteńkie*, jak i u was w Płockiem. Sędzia-obywatel, największa inteligencya sądu, *siedzi w domu*, a ławnik z podławnikami, mało obytymi nietylko z prawem i procedurą, ale nawet z literami w książce do nabożeństwa, sądzą sprawy. Tak pojmuje i tak się wywiązuje z obowiązków dla dobra ogółu podjętych, a szkoda, zapisaliśmy bowiem wiele bibuły, aby ten jedyny łącznik z ludem dla dobra jego utrzymał się przy inteligencyi, zrobiliśmy swoje, co prawda, reszta jednak to jest samo wykonanie i utrzymanie w sprawach społecznych tak poważnego i użytecznego stanowiska, już *nie w naszej mocy!..*"

A w czyjej? Nie w naszej o tyle, o ile mówimy w imieniu literatów, ale nie w imieniu społeczeństwa i tych jego żywiołów, które do sądownictwa gminnego są powoływane. Znamy w każdej okolicy sędziów z wyboru, pełniących swe obowiązki godnie, moglibyśmy wskazać jednego nawet w Płockiem, który nie jest *takuteńki*, jak na Podlasiu; musimy wszakże wierzyć, że powody do słusznych narzekań na opieszałość mnożą się. Panowie sędziowie „siedzący w domu," czy wy czytaliście ową „bibułę," zapisaną uniesieniami lub napomnieniami w sprawie, która was ani grzeje, ani ziębi? Doprawdy, chyba nie czytaliście, albo was zachwyca tylko sitko nowe na kołku.

I cóż z tego, gdyby nawet pobudowano odnogę kolei z Pniewa przez Płock do Mławy albo z Ostrowca do Lublina, kiedy wszelkie reformy i nabytki wyzyskujemy tak słabo? Ale nie budźmy licha, bo „siedzący w domu" gotowi dać dowód swej ruchliwości i nowemi kolejami wyjechać do... Paryża.

Nie zamykajmy wszakże oczu na jaśniejszą stronę medalu. Janowskie cieszy się świeżo założonem Towarzystwem rybackiem, którego duszą jest praktyczny rybak i wyborny w tej gałęzi gospodarz p. Przanowski z Potoczka. W samym powieciejanowskim liczy Towarzystwo kilkunastu członków, z których każdy przyjął obowiązek złożenia rs. 500. „Obok rozwoju działalności w Złotym Potoku (w Krakowskiem) — pisze korespondent *Wieku*— gdzie urządza się hodowla pstrągów, obok zarybiania pustych wód i jezior podlaskich, obecnie istnieje zamiar urządzenia, na przestrzeni około 800 morgów, w lasach pogranicznych, należących do dóbr Potoczek, Stojeszyn, Łysaków, Potok, Lachman, Modliborzyce i ordynacyi hr. Zamoyskich, jednego olbrzymiego jeziora, zarybionego karpiami i okoniami. W tym celu toczą się układy z odnośnymi właścicielami, a zahaczyły się na ordynacyi hr. Zamoyskich, lecz nie ulega wątpliwości, że jej zarząd, mający teraz światłego kierownika, w osobie dr. Laurysiewicza, do poparcia projektu przychyli się. Idzie o to, aby naturalną kotlinę rzeki Sanny, połączonej z Białą, w tych właśnie lasach położoną, gdzie obecnie ciągną się moczary i błota, zamknąć odpowiednią groblą i zamienić na rybne jezioro. Projekt to wielkiej doniosłości dla okolicy leśnej i odludnej, przez zaprowadzenie rybołóstwa może stworzyć znaczny dochód z ryb, a jednocześnie przez podniesienie stanu wód, zniszczyć bagna i moczary, obecnie niepozwalające ani na wzrost drzewa, ani na swobodną komunikacyę, przez te iście pińskie, kilkustemorgowe bagno, wydzielające szkodliwe wyziewy i miazmata chorób różnych. Pomyślny rezultat przedsięwzięcia zależy od doprowadzenia do skutku porozumienia się z kilkoma właścicielami lasów, których granice schodzą się właśnie u rzeki, tamże przepływającej, ale znając dzielność i energię p. Prz. jesteśmy pewni dobrego skutku."

Powodzenia!

Asan.

Lublin. Kupcy i rzemieślnicy skarżą się na stagnacyę i mały odbyt; podobne zresztą żale dochodzą i z innych miast. W Kosarzewie, Krzczonowie i okolicznych wsiach panuje *głód*, który usuwają publiczne składki. Jest to ciekawa ilustracya do rozpowszechnionego przekonania o chłopskiej zamożności.

Biała. Przed dwoma laty zorganizowoło się towarzystwo pomocy uczniom miejscowego gimnazyum. Z początku liczyło ono spory zastęp członków, ale powoli powstały nieporozumienia, i wreszcie kłótnie. Dziś nikt prawie nie uiszcza składki i towarzystwo istnieje tylko z imienia.

Mińsk. Korespondent *Wieku* donosi o dziwnych porządkach, panujących w miejscowym szpitalu. Waryaci chodzą sobie swobodnie, jeden z nich wpadł do oddziału terapeutycznego i zadusił chorego na tyfus żołnierza. Służba była nieobecną. Na dwa dni przedtem posługacz przez omyłkę dał chorym do wypicia napar z liści blekotu, przeznaczony do użycia zewnętrznego. Kilku z poczęstowanych omało życiem nie przypłaciło omyłki.

Radom. Z powodu nieurodzaju i, co za tem idzie, niezwykłej drożyzny najpotrzebniejszych produktów mnóstwo ludzi szuka służby lub innego zajęcia. *Gazeta kielecka* utrzymuje, że połowa poszukujących pracy dostać jej nie mogła. Ceny robotnika spadają a produktów wzrastają. Dziś już korzec kartofli kosztuje przeszło 3 rs.

Łódź. Istnieje tu ochotnicza straż ogniowa, działalność jej zasługuje tylko na pochwałę. Może jednak osłabić energię strażaków postępowanie niektórych fabrykantów. Panowie ci wytrącają z płacy robotnikom należącym do straży za czas stracony przy gaszeniu pożaru.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 23 stycznia.

Zmiana ministeryum w Hiszpanii.—Nowe święte przymierze. — Sprawy węgierskie i chorwackie.—Wniosk Wurmbranda i Reichenspergera. — Przesilenie robotnicze w Paryżu.—Nominacya Gordona.

Podróż niemieckiego następcy tronu do Madrytu zaczyna już wydawać owoce. Liberalno-demokratyczne ministeryum, przychylne dla Francyi—upadło, a na jego miejsce powołał król Alfons nie przedstawicieli umiarkowanej większości parlamentarnej, ale zachowawców, którzy w danym wypadku głosowali razem z rządem i razem z nim zostali pobici. Ster władzy objął Canovas-Castillo. Nowy gabinet wypiera się również wszelkich politycznych sojuszów, a za cel swój postawił wzmocnienie zasady monarchicznej oraz usunięcie z armii i administracyi niespokojnych żywiołów. Dla tego kortezy zostały rozwiązane i zamianowani nowi prefekci, pod których opieką odbędą się przyszłe wybory. Wchodzi więc i Hiszpania na drogę reakcyi, przystępując tem samem do nowego „świętego przymierza" skierowanego przeciw prądom postępowym i demokratycznym. Czy długo na tej drodze pozostanie i czy daleko po niej zajdzie? W kraju zamachów wojskowych i rewolucyj, żaden rząd na stałe istnienie liczyć nie może. Wspomniana „święta liga" żywiołów zachowawczych, o której pierwszą wzmiankę uczynił organ watykański z racyi udzielonego jej przez papieża błogosławieństwa, z dziedziny przypuszczeń dziennikarskich przechodzi na pole dokonanych faktów. Gazety z półurzędowym charakterem zaznaczają otwarcie jej istnienie, ale najświeższe wiadomości z Berlina

o dojściu do skutku kilkakrotnie poprzednio projektowanego ogólnego związku. Weszły doń państwa, należące do środkowo-europejskiego przymierza i niektóre inne. Policye wszystkich krajów wzajemnie komunikować będą sobie potrzebne wiadomości i przesyłać fotografie podejrzanych osób. Główny kierunek i centralne archiwum znajdować się będą w Berlinie. Następstwem jego będą zapewne wspólne środki zapobiegawcze i wzajemne wydawanie sobie zbiegów politycznych.

Ośmielona przypadkowem zwycięztwem podnosi reakcya głowę w Węgrzech. Jakkolwiek Tisza odstąpił od zamiaru ponownego przedstawienia w bieżącej sesyi prawa o małżeństwach mieszanych i projektu reformy izby magnatów, zachowawcy nie ustają w swych zabiegach. Główny sztab ich przebywa obecnie w Wiedniu i czyni odpowiednie kroki w sferach dworskich, inni zaś agitują na szeroką skalę i organizują się, aby jako zwarte stronnictwo wystąpić na przyszłych wyborach.

W Chorwacyi, radykalni, żądający zupełnego oddzielenia jej od Węgier, zostali czasowo wykluczeni z sejmu i przenieśli działalność swoją na ulicę. Zagrzeb wygląda znowu jak miasto w stanie oblężenia, wojsko stoi pod bronią. Sejm został ostatecznie rozwiązany, a banowi dano pełnomocnictwo do uśmierzenia zaburzeń wszelkimi środkami, jakie uzna za stosowne.

W Wiedniu rozpoczęły się już obrady nad wnioskiem Wurmbranda. Gabinet oblicza, że ma 11 głosów większości, ale nawet w razie porażki hr. Taafe nie ustąpi, bo ministeryum nie jest wcale parlamentarnem; zmusićby go mogło do tego jedynie odrzucenie budżetu.

Przesilenie robotnicze w Paryżu przybiera coraz bardziej ostry charakter. Rząd przedsiębierze środki ostrożności i zamyśla rozpocząć znowu roboty państwowe. Kierownictwo ruchu zrazu objęli radykaliści, ale zebrania robotnicze uznały, że środki przez nich projektowane są niewystarczające i oświadczyły, iż od istniejącego rządu niczego spodziewać się nie mogą, a jedyne rozwiązanie kwestyi widzą w rewolucyi socyalnej. Dziś, rozumie się, do tego nie przyjdzie, poważny wszakże charakter ruchu jest przestrogą dla mieszczańskiej polityki Ferry'ego.

W Sudanie wojska proroka czynią nowe postępy. Naczelną władzę w tej prowincyi powierzyła obecnie Anglia Gordonowi, który był już poprzednio gubernatorem i zna wybornie kraj. Idzie tu głównie o wycofanie załóg, bo o odzyskaniu Sudanu nie może być mowy bez współdziałania Anglli i Turcyi, a na to wcale się nie zanosi; kedyw nawet zdecydowany jest na ten raz i oświadczył publicznie, że woli stracić zdobyte prowincye, aniżeli narażać własny kraj na wycieńczenie. Prawdopodobnie Sudan pozostanie niezależnym; Egipt zaś przejdzie ostatecznie pod opiekę angielską.

CUDZE GŁOSY.

Wystawa obrazów rosyjskich wywołała polemikę między *Dniewnikiem Warsz.* i *Kuryerem Warsz.* Gdy pierwszy zrobił zarzut prasie polskiej, że zamilczała zupełnie o tym fakcie, drugi odparł, że winić należy przedsiębiorców, którzy nie spełnili zwyczajnych formalności, to jest nie odwiedzili redakcyj a nawet nie przysłali zawiadomień.

Na to *Dniewnik* odpowiada:

„Z tego wypada, że prasa warszawska, ignorując wystawę, uczyniła to przez zemstę na jej kierowniku za jego niegrzeczność, za to, że on nie przysłał redakcyom zaproszeń i nie złożył ich redaktorom oraz wydawcom wizyt. Czy to jest zręcznem — dobrem — godziwem?..

Jeżeli przyjeżdżający aktorowie i śpiewacy, właściciele cyrków i muzeów odwiedzają redakcye gazet warszawskich i proszą o wzmianki, czynią to, jak sądzę, nie z grzeczności, lecz po prostu z wyrachowania, w nadziei reklamy. Jest to raczej sposób przyciągania publiczności, niż grzeczność. Z tego zaś wynika, że, przyjąwszy zaproszenie lub bilet wolnego wejścia, trzeba pisać nietylko o każdej wystawie lub muzeum, lecz o wszelkiej bawaryi, gdzie rzępoli orkiestra żydowska; trzeba mówić o każdej książce, przysłanej do redakcyi, niezależnie od jej treści, a przeciwnie, milczeć o tych książkach i objawach życia społecznego, które nie dotknęły progów redakcyjnych, chociaż z istoty swojej posiadały najpoważniejsze znaczenie."

W drugim artykule *Dniewnik* odsłania inną stronę tejże sprawy. Mianowicie w odpowiedzi *Kuryera* odkrywa taką zasadę:

„Do nas ludzi Zachodu przyjechał człowiek Wschodu i ośmielił się nie zachować naszych zwyczajów; jest to grubiaństwo i my uznaliśmy za stosowne dać mu to do zrozumienia."

I rozwodząc się nad tą zasadą, *Dniewnik* szydzi z zależności naszej od Zachodu a zarazem chwali wyzwolenie się od niej społeczeństwa rosyjskiego, które nie bije czołem przed nowym despotą — prasą. Pomijamy sam przedmiot sporu, powtarzamy tylko, że tłomaczenie *Kuryera Warszawskiego* było dziwnie niezręcznem. Przynajmniej my wcale nie piszemy o książkach lub wystawach wtedy jedynie, gdy otrzymamy gratisowe egzemplarze, bilety, zaproszenia, lub gdy przedsiębiorcy złożą nam wizyty.

Ruch rolny w Anglii wzrasta szybko, jak widać z oświadczeń słynnego autora książki *Postęp i nędza*, Henryka George'a, który w celu agitacyi przybył z Ameryki do Londynu i jednemu z dziennikarzów tak określił położenie obecne:

„W ostatnich dwu latach rozeszło się w Anglii 180,000 egzemplarzy mojego dzieła *Progress and Poverty*. Głównie oczy zaczynają się otwierać klasie średniej, niższym urzędnikom, nauczycielom, proboszczom wiejskim i drobnym kupcom. Mniej więcej przed czterema miesiącami żywioły te założyły związek reformy rolnej. Nie jest on tak konserwatywnym, jak liga Devitta i Parnella w Irlandyi, lecz radykalny i czerwony a żąda wywłaszczenia lordów bez wynagrodzeń. O środkach i sposobie przeprowadzenia tej zmiany związek ów jeszcze ostatniego słowa nie wyrzekł, żeby nie wprowadzać niezgody do swych szeregów: pragnie on tylko szerzyć propagandę, pozostawiając samemu ludowi rozstrzygnięcie kwestyi. Rozsiewane przezeń ideje krzewią się z szaloną szybkością, a z dzienników kapitalistycznych wnosić można, że lordowie czują obawę. Wyznają oni otwarcie, że widzą zbliżającą się walkę.

Niedawno pewne stowarzyszenie duchowne ogłosiło pamflet p. t. *The Bitter Cry*, w którym jaskrawo kreśli przerażającą nędzę ubogich w Londynie. Na to odpowiedział lord Salisbury, że istotnie pora, ażeby rząd pomyślał o zaradzeniu niedoli biednych, rozwiązał kwestyę mieszkań a pozbawionym pracy w wielkich miastach dostarczył zarobku. *Daily News*, dziennik całkiem konserwatywny, odparł, że to nie doprowadziłoby do niczego, gdyż wtedy ubodzy i pozbawieni roboty spłynęliby z całego kraju do Londynu, a nędza stałaby się większą, niż przedtem. Złe nie jest miejscowem, lecz narodowem, a może być usuniętnem tylko przez zniesienie prywatnej własności ziemi. Wkrótce minister Chamberlain oświadczył publicznie, że godzi się z socyalistami i że jedynie państwo zapomocą stowarzyszeń może zapobiedz nędzy i bezrobociu. Skutkiem tego wszystkie gazety, zostające pod wpływem Chamberlaina, zaczęły pomieszczać artykuły socyalistyczne."

Dla wzmocnienia agitacyi unia reformy rolnej wysłała George'a na trzy miesiące do Anglii, ażeby w wielkich miastach miał odpowiednie wykłady. Jednocześnie szkot Carnegie, zbogacony handlarz żelaza, kupił *Echo* londyńskie i wiele pism prowincyonalnych, które mają działać w tymże duchu.

„Według mojego przekonania —powiada George — nie ulega wątpliwości, że w Anglii rozpoczęła się rewolucya. Stąd przejdzie socyalistyczna pobudka do całego ucywilizowanego świata. W Anglii nędza mas jest większą, niż w jakimkolwiek innym kraju, a nadto naród angielski posiada lepsze wykształcenie ekonomiczne; pojmuje on rzecz łatwiej i energiczniej wytrwa przy zasadzie, niż np. irlandzki, którego uniesienie zapala się jak słoma i szybko gaśnie. Entuzyazm anglików płonąć będzie długo, jak piec naładowany węglami kamiennymi. Z Anglii ruch przejdzie do Ameryki, gdzie osiągnie cel prędzej, niż tu."

Ponieważ proroctwo rozciąga się na bliską przyszłość, więc — zobaczymy.

Kwestya galicyjska. Z powodu wejścia na stół austryackiej Rady państwa wniosku Wurmbranda o języku państwowym — jakby na dany znak, wszystkie niemal organy prasy centralitycznej rozpoczęły atak na Galicyę, atak zresztą wcale nieszkodliwy, bo nie Ares, lecz Kupido wziął tym razem polecenie miotania strzał „na lube mi woje..."

Wspomnieliśmy już w zeszłym numerze o tych syrenich głosach; powracamy też dziś do tego samego przedmiotu jedynie dla okazania próbki brutalności niemców w traktowaniu spraw czechów i innych słowian zachodnich a przewrotności w postępowaniu z nami. Oto np. *Deutsche Wochenschrift* nie może darować stronnictwu wiernokonstytucyjnemu tego błędu, że nie przyznało Galicyi odrębnego stanowiska. W Czechach i na Morawie tradycya państwowego języka słowiańskiego zaginęła już dawno i „tylko marzyciele albo niesumienni demagodzy mogą zapomnieć, że słowiańskie państwo w samym środku niemieckiego organizmu jest niemożliwe." Dalej zaś czytamy:

„Inaczej rzecz się ma w Galicyi. Austrya a i wiernokonstytucyjne stronnictwo musiały uznać, że daremnem byłoby usiłowanie wtłoczenia Galicyi ściśle w tę samą obręcz, która obejmuje dawne niemieckie kraje dziedziczne...

Dwie rzeczy były możliwe: albo rusinów i polskich chłopów zagrzać do walki przeciw polskiej szlachcie i wydać ją na łup nieprzyjaciół, jak w r. 1846 (szczerość czy cynizm?!) albo pogodzić się z tą szlachtą, która rozporządza zawsze $^5/_6$ galicyjskich mandatów. Ostatnia droga była tem bardziej wskazaną, że Galicya tylko przemijająco podlegała sferze potęgi niemieckiego narodu, że dalej nie mamy tam wielkich niemieckich interesów do przestrzegania i że najprostsza roztropność musiała niemcom austryackim powiedzieć, iż nie chcąc całego morza nienawiści przeciw sobie wzburzać, muszą zrzec się wszelkich niemożliwych pretensyj do panowania."

Przeszedłszy do wniosku Wurmbranda, tak autor mówi dalej:

„W wielkiej rozprawie narodowościowej okaże się, czy przywódcy parlamentarni niemców austryackich nauczyli się czego i zapomnieli! Teraz muszą oni otwarcie wypowiedzieć, że wobec Galicyi zupełnie innej chcą się trzymać polityki, aniżeli w stosunku do Czech. Do wniosku Wurmbranda wnieść należy poprawkę, że w przyszłej ustawie narodowościowej *status quo* w Galicyi będzie uwzględniony, te zatem niemcy nie mają wcale zamiaru rozciągania środków represyjnych (!), jakieby może w Czechach były potrzebne, także i na Galicyę. Już z góry zrzec się należy wpływu Rady państwa na stosunki językowe w Galicyi. Zrzeczenie to ma się znów wtedy stać prawomocnem, gdy posłom z Galicyi ustawa zasadnicza odejmie możność współdziałania przy językowem ustawodawstwie w niemiecko-austryackich prowincyach."

Tak wygląda soczewica, za którą kupić chcą centraliści posłów galicyjskich. Po-

mijając całą niemoralność powyższej propozycyi, warto jeszcze zaznaczyć, jak skromną jest ilość ziaren, ofiarowanych za zdradę dotychczasowych sprzymierzeńców.

„Jeżeli niemcy — powiada słusznie *Reforma* — chcą na nas zarzucić wędkę, niechże założą na haczyk coś większego i ponętniejszego, aniżeli samo przyrzeczenie, że *status quo* językowy w Galicyi będzie uwzględniony, zwłaszcza, iż dzisiaj naruszenie tego *status quo* uważamy jako praktycznie niewykonalne! Haczyk zanadto widoczny...“

„Teka Nieczui“ w sprawie ruskiej. O najnowszej pracy Zygm. Kaczkowskiego mówiliśmy już dawniej, z konieczności zwięźle i krótko, chociaż wiele w niej ustępów dopraszało się gwałtem powtórzenia. Tak się ma rzecz np. z poglądami autora na politykę polaków względem Rusi, które najzupełniej przystają do naszych w tej mierze zapatrywań. Korzystając też z tego, że pisma ruskie w Galicyi zajęły się obecnie książką Imci Pana Nieczui, powracamy i my do niej. Owóż przebiegłszy w krótkości dzieje unii, „posłaniec do małych polaków i czerwonych rusinów“ tak prawi dalej:

„Czy od czasu, kiedy za Wazów zakon Jezuitów u nas się rozwielmożył, nie popełniliśmy całego szeregu grzechów względem tego bratniego ludu? Czyśmy ich tak zupełnie szczerze zrównali z sobą, jak nam to nakazywała przewodnia myśl unii? Czyśmy im zostawili swobodę rozwijania ich ducha narodowego według ich wiekowych tradycyj? Czy szlachta ruska nie opuściła swego ludu, przechodząc na obrządek łaciński? (To już nie nasza wina. *Przyp. Red.*) Czyśmy sami nie zaśmiecili tej szlachty awanturnikami naszego społeczeństwa? Czyśmy tam nie usiłowali nawracać wiernych? Czyśmy się sami nie przyczyniali do rozszerzania przepaści pomiędzy dwoma obrządkami jednego kościoła, która wprawdzie zasklepiła, ale którą tylko rzetelnie przeprowadzona wspólność spraw narodowych mogła na zawsze zapełnić...“

„A jak to wy tam sobie dziś — czytamy dalej — poczynacie z rusinami? Słyszałem, że przed kilkunastu laty, podobno przed samą wojną austryacko-pruską, jużeście poczęli wchodzić na dobrą drogę. Gołuchowski, naówczas poseł na sejmie, wygotował był program postępowania względem rusinów, który zyskał aprobatę tych wszystkich, co są sprawiedliwi i którym przyszłość leży na sercu. Ale tych wszystkich podobno było niewielu a natomiast dużo było takich, chociaż na ruskiej urodzili się ziemi i ruski chleb jedzą, obwołujących koło siebie, że niemasz rusinów. Ażaliż ci nie są zaślepieni? Ich to staraniem program ten nawet światła dziennego nie ujrzał... Ale czyż to też trudno go odtworzyć? *Dajcie rusinom to wszystko, co sami macie.* Oto jest jedyna podstawa dobrego programu i niemasz innej, bo wszystko, co się nie opiera na tej podstawie, jestto niesprawiedliwie.“

Nie potrzebujemy chyba dodawać, że głos Imci Pana Nieczui powitały pisma ruskie z pełnym zapałem.

Korespondent kowieński *Warszawskiego Dniewnika* opisuje trudność w wyborze odpowiedniej liczby przysięgłych. Ludność nie zna prawie wcale języka rosyjskiego, tymczasem przysięgli znać go powinni. W pewnej miejscowości urządzono próbny egzamin i okazało się, że nikt prawie w dostatecznym stopniu nie władał językiem urzędowym. Fakt ten, który poprzednio już przewidywaliśmy, mówiąc, że reforma sądowa wyprowadzić musi na pierwszy plan kwestyę praw dla miejscowego języka, nasuwa *Warszawskiemu Dniewnikowi* takie tylko uwagi:

„Co powiedzą na to przeciwnicy wprowadzenia nauki języka rosyjskiego do danej miejscowości? Czy nie potrzebną jest znajomość jego? Czy przybliży ona lub oddali wprowadzenie sądów przysięgłych do danej miejscowości?“

Według nas, istnieją chyba inne jeszcze sposoby usunięcia tego kłopotu.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Tryumf nauki. *Prof. Wróblewski w Krakowie skroplił najlotniejszy z gazów, wodór przy 186 st. C.*

Ulgi. Uczniowie wyznania mojżeszowego, według okólnika ministra oświaty, powinni być zwolnieni w sobotę od lekcyj, jeżeli rodzice ich tego żądają, a w każdym razie mogą nie robić wypracowań piśmiennych.

Uniwersytet. Rada uniwersytecka postanowiła, że kto otrzyma z jakiegobądź przedmiotu mniej niż 3, nie może składać dalszych egzaminów — nie wolno także odkładać części ich na czas powakacyjny.

Pożyczka miejska. Magistrat Warszawy otrzymał pozwolenie wydania 2,000.000 rs. na kanalizacyę. Na pokrycie tego wydatku znajduje się kapitał, wynoszący 800,000 rs., reszty dostarczyć ma pożyczka. Dla otrzymania 1,200.000 wypuszczone zostaną obligacye na sumę 1,350,000 rs., ponieważ kurs ich początkowo nie będzie prawdopodobnie wyższy nad dziewięćdziesiąt za sto.

Wyrok. Piątkowski v. Düsseldorf, który niby to miał polecenie wykonać zamach na Bismarka, uznany został przez sąd winnym oszustwa, włóczęgostwa i przybrania cudzego nazwiska i skazany na ośm miesięcy więzienia.

Rewizyę sądów gminnych i sądów pokoju dokonać ma z polecenia wyższej władzy p. Trachimowskij, starszy prezes Izby sądowej warsz.

Utrzymanie więzień kosztować będzie w roku bież. 13,426,000 rs. nie wiele więcej wynosi budżet oświaty.

Gorzelnie gospodarcze. W celu podniesienia rolnictwa a zwłaszcza hodowli inwentarza postanowiono ułatwić zakładanie gorzelni na małą skalę; w tym celu przepisy akcyzy zostaną odpowiednio zmienione.

Wydawnictwo jubileuszowe wyboru dzieł J. I. Kraszewskiego przyniosło czystego zysku 39,948 rs. k. 76. Delegacya uproszona do kontrolowania uważa czynność swą za skończoną.

Nowe ministeryum ma być utworzone z odłączonych od ministeryum spraw wewnętrznych departamentów poczt i telegrafów. Istniało już ono poprzednio przez czas jakiś w ostatnim roku panowania Aleksandra II.

Bibliografia polska. E. Broniewski *Tablice graficzne do dziejów Europy*. Ark. 3, wiek IX i X.

Zabawna omyłka. Humorystyczne pismo *Strekoza* przytacza zabawną omyłkę druku w *Botanice* Regela. Na str. 26 tej książki czytamy: „Większość kulturnych roślin wyrasta pomyślnie tylko *pod dozorem policyi*;“ powinno być: „przy dozorze i polewaniu“ (pod nadzorom i poliwkoj).

Z prasy rosyjskiej. Gazeta *Russkij Kurjer* za „szkodliwy i wprost niemożliwy kierunek“ otrzymała *drugie* ostrzeżenie.

Agitacya przeciw studentkom w Szwajcaryi wzrasta. Skierowaną jest ona głównie przeciw rosyankom, które stanowią większość uczących się kobiet. Po scenach w Zurychu, nastąpiły podobne w Bernie. Jedna z gazet rosyjskich zwraca się z tego powodu do swego społeczeństwa ze słuszną wymówką. Wy to, powiada, sami spotwarzaliście swoje dzieci, rosyjską młodzież, wy publicznie i niemal urzędownie nazwaliście studentki rozpustnicami, wy przez skąpstwo i niezaradność zmuszacie je szukać wiedzy u obcych. Zbieracie teraz owoc własnego zasiewu. Gorzka ta prawda i do nas zastosowanie znaleść może.

Gorliwość obywatelska. Redakcya *Inżynieryi i budownictwa* w celu zbadania bogactw mineralnych Królestwa i prowincyi przyległych rozesłała do obywateli ziemskich i innych osób 40,000 szematów z odpowiedniemi pytaniami. Po upływie roku *45* osób zaledwie nadesłało odpowiedzi, z których połowa tylko posiada jaką taką wartość.

Porwanie. Na Kaukazie rozbójnicy porwali naczelnika policyjnego okręgu geoktczajskiego i uprowadzili z sobą w góry.

Statystyka lekarzy. W Warszawie praktykuje 292 lekarzy, za prowincyi zaś tylko 428; dosyć porównać te cyfry z liczbą ludności, żeby przekonać się, ile nieuzasadnionemi są utyskiwania na trudność zarobku. Nawet w Warszawie nie można powiedzieć, że jest za dużo lekarzy, bo Peszt z mniejszą ludnością liczy ich 400.

— Statystyka idyotów najwięcej wykazuje ich w Lombardyi (na 10,000) 122,29, a najmniej w Szwecyi 3,92. Niemcy posiadają 14,37, Francya 11,40, Austrya 8,43 itd.

Humor. — Ile ma lat Marya?

— I ja byłem tego ciekaw. Wczoraj zapytałem jej— przyznała się do 28.

— Ach, ona miała zapewne na myśli tylko procenty. (*Berl. Mont. Zeitung*).

— Nie wystawisz pan sobie, jak mnie naśladują — mówił pewien pisarz dramatyczny do dziennikarza, który odpowiedział:

— Tak, i to jeszcze starsi koledzy (*Fr. Ztg*).

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. J. M. „Wszędzie czczych marzeń pękają osłonki“ a na miejscu „pustych westchnień czoła swe wznoszą postępu świątynie“ — albo to prawda? I forma słaba.

Homo. O książce tej pisaliśmy w nrze 19 *Prawdy*, bardzo dobry i przystępny wykład determinizmu. O Rewolucyi franc. jest mnóstwo dzieł znakomitych: Carlyle'a (tłom. franc.), L. Blanca *Hist. de dix ans*, H. Taine'a *Les origines de la France contemporaine* itd.

D. W. „Rozbiera się“ na części, „rozkłada się“ w znaczeniu otwiera się. Co innego książkę rozebrać, a co innego rozłożyć. Podobnie i z fuzyą.

P. Kusz. Gazeta polska drukowała pod tyt. *Świetne widoki.*

P. K. Parę słów nie dla nas.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Января 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**